





TEATR NOWY
IM. IZABELLI CYWIŃSKIEJ
W POZNANIU

WKRÓTCE W NOWYM

teatrnowy.pl • bilety24.pl • [f/teatrnowypoznan](#) • [instagram.com/tnpoznan](#)

KORIOŁAN

reż. Stanisław Chłudziński
Premiera: 13 listopada 2025

CHORY Z UROJENIA

reż. Oskar Sadowski
Premiera: 6 grudnia 2025

PARTNERZY I PATRONI TEATRU NOWEGO:



WIELKOPOLSKA



INSTYTUCJA KULTURY
SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA
WIELKOPOLSKIEGO

V O L V O

FIRMA KARLIK

Bilety²⁴
MASTERS & TECHNOLOGIES

kultura
poznan.pl

iks



PIANTA PIZZA E PASTA



Koleje
Wielkopolskie



Intro

Redaktor naczelny: Dawid Balcerek

„Ile to już bracie lat? Okrągłe lat piętnaście. Ile to już siostró lat? Piętnastak, sprawdź to właśnie.” Od kilku tygodni po głowie chodzi mi refren Rycha Peji z numeru pt. „Piętnastak”. Tak, siostró i bracie, Freshmag ma już piętnaście lat! Wystartowaliśmy dokładnie 3 listopada 2010 roku. Spokojnie, to nie będzie kolejny wspominkowy wstęp. W zeszłym wydaniu, przy okazji setnego numeru, zrobiłem już podsumowanie, więc spokojnie – wystarczy. Jednak bardzo chciałbym odnotować fakt, że jesteśmy najdłużej działającym magazynem miejskim w Poznaniu. I do tego darmowym! Jesteśmy żywym dowodem na to, że papier ma jeszcze sens a ludzie cały czas cenią sobie wartościową prasę. Tak, nie ma tu miejsca na skromność. Od lat robimy dobry magazyn i jesteśmy tego świadomi. Za każdym razem, gdy oddajemy Wam w ręce numer, wkrada się pewien niepokój i obawa. Obawa, żeby następny numer nie odbiegał poziomem od poprzedniego. Póki co idzie nam chyba dobrze. Tak jak byłem bardzo zadowolony z setnego, specjalnego wydania, tak i teraz jestem bardzo usatysfakcjonowany. To nas napędza i cały czas nam się jeszcze chce to robić. Możecie być pewni, że jeszcze chwilę tu będziemy!

Ten numer jest szczególny, nie tylko my świętujemy swoją rocznicę. Wraz z nami, swoje pięć lat działalności na scenie klubowej celebruje również duet Nimm2. Kolejny solenizant, z którym porozmawialiśmy na łamach jesienno-wiosennego wydania to DJ Soina. Ten człowiek orkiestra kręci winylami już ponad 20 lat! I tutaj proszę teraz przytrzymać piwo, bo swoje 25-lecie działalności scenicznej obchodzi również poznański duet Pięć Dwa, czyli Hans z Deepem. Z każdym z wyżej wymienionych przeprowadziliśmy obszerny wywiad, a to tylko ułamek tego, co dla Was przygotowaliśmy. Przed nami kolejne piętnaście lat, a ja zapraszam do lektury.



REDAKTOR NACZELNY:

Dawid Balcerek
dawid@freshmag.pl

REDAKCJA:

Craft sp. z o.o.
ul. Książęca 1
61-361 Poznań

REKLAMA:

Michał Krupski
600 286 242
michal@freshmag.pl

WSPÓŁPRACA:

Sylvia Klaczyńska
Natalia Bednarz
Zofia Myślicka
Dominika Majewska
Karolina Sierszulska
Rafał Szaroleta

Julia Lipowicz
Joanna Gruszczyńska
Kacper Jakubiec
Marta Kabsch

NAKŁAD:

4000 sztuk

OKŁADKA:

Waldemar Świerzy
Dom Mody „Leda”

WYDAWCA:

Michał Krupski
michal@freshmag.pl

Moda na plakacie
Wywiad z kuratorką wystawy
Anną Grabowską-Konwent

4

**Malarz, który założył
Siekierę i Armię**
Rozmowa z Tomaszem Budzyńskim

12

25-lecie zespołu Pięć Dwa
Hans i Deep o rapie, który dojrzewa

24

Z Miłości do Maitri
Restauracja stawiająca na jedzenie
bez wykluczeń

34

8

**„Andy Warhol.
A Kind of Retrospective”**
Wystawa w Pop Culture Gallery
w Starym Browarze

20

O miłości, muzyce i nowym początku
Wywiad z duetem muzycznym Zuta,
który właśnie wchodzi na salony

30

Jazzowa jesień
Selekcja najciekawszych koncertów
w klubie Blue Note



Ponadczasowe Nimm2
Pięć lat na scenie klubowej

38

Wszystkie strony księżyca
Witold Andree, kolekcjoner płyt,
o najlepszym albumie w historii muzyki

50

„Mieć jakość i być jakością!”
Rozmowa z modową stylistką
i projektantką Natalią Penar

60

44

Ten winyl kręci się już 20 lat

DJ Soina świętuje dwie dekady na scenie

54

Kulinarna duma Wielkopolski

Wszystko o piwie grodziskim

64

**Sztuka, która interpretuje
lokalne dziedzictwo**

Powrót Teatru Ludowego

出演: BETHANN HARDISON
DEBBIE DICKINSON
ELA GERARD
IMAN ABDULMAJID
JOHNA JOHNSON
PEGGY DERRARD
RIMA VETTER
SARA KAPP
SUSY DYSON
TOKIE SMITH
ATSUKO OKA
HARUKA ASAMI
MASAE KAWAMI
SAYOKO YAMAGUCHI
SEIKO BAN

制作: 増田通二
構成・演出: 石岡瑛子/毛利匠男
美術: 石岡瑛子
音楽: 伊藤八十八/伊藤淳
開始: 森本晴幸

Oszczędność formy

Moda na plakacie

Rozmawiała: Karolina Sierszulska

Zdjęcie: *Fly with Issey Miyake*, Eiko Ishioka

Już na początku listopada będziemy mieli okazję zobaczyć najmodniejszą wystawę tego sezonu! W Muzeum Sztuk Użytkowych w Zamku Królewskim w Poznaniu przedstawiona zostanie kolekcja, ukazująca bogate zbiory Galerii Plakatu i Projektowania Graficznego. Na ekspozycji zaprezentowanych zostanie blisko osiemdziesiąt prac polskich i zagranicznych artystek oraz artystów. Spotkałam się z kuratorką, Anną Grabowską-Konwent, żeby zapytać o szczegóły wystawy, te spod podeszewki. Porozmawiać o tym, jak krzyżują się drogi sztuk wizualnych oraz mody, co kierowało ówczesnymi artystami, tworzącymi dla popularnych domów mody, zapytać wreszcie – czy to, co zobaczymy na plakatach, dziś też może być dla nas inspirujące. O tym, i nie tylko przeczytacie poniżej!

Skąd pomysł na zestawienie Polski i Japonii? Czy miały one na siebie wzajemny wpływ? Czy klucz do zrozumienia idei wystawy jest inny?

Jeśli chodzi o plakaty związane z modą, to tutaj nie było żadnego wpływu. Klucz jest prosty: mianowicie wystawa ta, w ramach Graphic Concept, bazuje na naszej kolekcji. Zrobiłam kwerendę wewnętrzną, dogłębny przegląd i okazało się, że najwięcej plakatów modowych pochodzi z Japonii. Plakatów autorstwa polskich grafików jest stosunkowo niewiele w naszych zbiorach, a na wystawę wybrałam najciekawsze o tej tematyce. Rzadko można zobaczyć plakaty japońskie, więc będzie to naprawdę gratka. Oprócz odmiennego sposobu obrazowania

w tych dwóch środowiskach, różnicę dostrzec możemy również w technice. W Japonii była ona o wiele lepiej rozwinięta – poligrafia, druk kolorowy. W Polsce artyści, tworząc plakat modowy, radzili sobie w najlepszy sposób, jaki potrafili, czyli najczęściej malowali, ręcznie wykonywali także liternictwo. Generalnie używali tych samych środków, które wykorzystywali przy tworzeniu plakatu filmowego czy teatralnego. Na przykład plakat Cieślewicza dla Mody Polskiej jest plakatem wybitnym, ikonicznym. Ale bardzo żałuję, że nie był on wydrukowany w Japonii. W Polsce wydrukowany został w 1960 roku, w niewielkim formacie, na bardzo złej jakości papierze. Projekt Cieślewicza, w moim pojęciu, po prostu został zgaszony przez tę niedoskonałą wówczas poligrafię. Mimo tego słabego druku, on i tak się broni swoim pomysłem. Zresztą ten plakat był wielokrotnie wznawiany, to też coś pokazuje. W 1960 roku, czyli w okresie, kiedy ukazywały się topowe plakaty teatralne i filmowe, został numerem jeden w konkursie na „Najlepszy Plakat Warszawy”. Drugim przyczynkiem tej wystawy jest fakt, że udało mi się pozyskać plakaty Eiko Ishioki, znakomitej nieżyjącej już japońskiej artystki, nad czym pracowałam od dawna. W związku z planowaniem tej wystawy otrzymaliśmy ponad 80 plakatów jej autorstwa w darze od DNP Foundation for Cultural Promotion z Tokio.

Jak powstawały plakaty w Japonii, a jak w Polsce? Moda i plakat zawsze szły w parze?

W Japonii najczęściej druki reklamowe związane z modą oraz kosmetykami, to prace o wysokiej jakości artystycznej. Jeśli chodzi o Polskę, nie wyglądało to tak samo. Plakaty o tematyce modowej były nieliczne, nie wszystkie są też jakościowe artystycznie. Spośród tych z naszej kolekcji, wybrałam moim zdaniem te najciekawsze pod względem kompozycji graficznej. Są to pojedyncze przykłady, ale ukazują one kwintesencję prezentacji najlepszych ówczesnych polskich domów mody. Nie było zapotrzebowania na taki sposób wyrazu, dlatego, że nie było czego reklamować. Najczęściej plakaty były prezentowane na targach, pokazach lub w nielicznych witrynach sklepów. Wydawane w niewielkich edycjach. Można powiedzieć, że pla-

kat modowy w Polsce nie istniał. To była raczej forma prestiżu. Plakat był rodzajem ekskluzywnej reklamy, niezwiązanej w żaden sposób z potrzebami rynku.

Co inspirowało polskich grafików w latach 60. i 70.? Czy to oni tworzyli trendy, czy raczej za nimi podążali?

W tych nielicznych przypadkach nie ma mowy o jakiegokolwiek inspiracji trendami modowymi. Raczej chodziło o to, żeby oddać charakterystykę danego domu mody. Natomiast, jeśli chodzi o te najbardziej popularne ówczesne domy mody, czyli Moda Polska, stworzona przez Jadwigę Grabowską, czy Leda, Modena oraz Telimena, to najczęściej ich źródłem inspiracji był Paryż albo inne zachodnie stolicy. Graficy, tworzący wtedy te plakaty, starali się oddać charakter strojów, które były wtedy noszone na wybiegach europejskich miast, wykorzystując do tego przeróżne środki artystyczne odwołujące się do współczesnych nurtów w sztuce.

Zupełnie inaczej było w Japonii. Tam występowało swego rodzaju sprzężenie dwóch dziedzin sztuki projektowania. Moda, jeszcze do 1960 roku nie była traktowana jako dziedzina projektowania, o czym świadczy chociażby jej brak w programie Tokyo World Design Conference. Postrzegano ją zaledwie jako użyteczne rzemiosło. To się w końcu zmieniło, a pomogły w tym wspólne działania grafików i projektantów modowych, którzy dla wzmocnienia swojego przekazu często działali w jednym zespole. W plakacie japońskim bardzo rzadko stroje pokazywane są w sposób namacalny, nie są one na „pierwszym planie”. Ponadto nie są to ekstrawaganckie stroje, to zwykła, codzienna moda dla każdego człowieka. Przenikanie się płaszczyzn, takich jak moda i kosmetyka z projektowaniem graficznym, było i nadal jest obecne. Issey Miyake, znany japoński projektant, zaprasza do współpracy dwóch znakomitych projektantów – Ikko Tanakę i Tadanori Yokoo – wykorzystuje ich graficzne projekty i przenosi je z papieru na stroje, w formie nadruków na tkaninach. To pokazuje, jak grafika łączy się tam z modą.

W Polsce to były silne osobowości – najczęściej projektantki, które dyktowały ten główny stylistyczny wizerunek stroju, często odbiegający od ogólnych zaleceń jedynej partii, próbującej wszystkich obywateli uformować według jednego wzoru.

Czy można plakaty te nazwać minimalistycznymi, kojarząc je z japońskim minimalizmem?

Raczej nie nazwałabym ich minimalistycznymi. Myślę, że to jest sposób na stworzenie atrakcyjnego obrazu, który przyciągnie wzrok, a jednocześnie opowie coś więcej. Eiko Ishioka w swoich pracach dokładała drugi komunikat, często dotyczący kobiety, jej sytuacji. Wówczas sama była jedną z pierwszych graficzek w absolutnie męskim środowisku art directorów i projektantów w Japonii. Będąc silną osobowością i mając taką możliwość, podprogowo wplatała tę kobiecość w powstające pod jej kierunkiem duże kampanie promocyjne. Na przykład za pośrednictwem wprowadzania czarnoskórych modelek lub zamieniając role wschód-zachód – kto kim się inspirował. Przez dwadzieścia lat po II wojnie światowej główne inspiracje płynęły ze Stanów Zjednoczonych do Japonii. Stopniowo odbudowywana Japonia, chciała aby ten wpływ nieco się odwrócił, aby dostrzeżono ich siłę i nowatorstwo. To będzie dobrze widoczne na wystawie, gdzie na podstawie jednego plakatu można opowiedzieć bardzo wiele. Niesamowite jest również to, jak dużo informacji może być zakodowane w plakacie reklamowym.

Jak ubiera się Warszawa, a jak Harajuku, popularna dzielnica Tokio?

Na wystawie nie pokazujemy żadnych współczesnych modowych plakatów, tylko te historyczne. Nie mamy takowych w swojej kolekcji, zresztą obecnie artystycznych plakatów modowych w Polsce praktycznie wcale nie ma, albo stanowią niewidoczna niszę. Natomiast ówczesne plakaty japońskie, które pokażemy bardzo mocno oddają charakter dzielnicy Harajuku. Ukazują przemianę, buzującą energię młodych projektantów wyrażających się poprzez modę. Reklamują sieć sklepów Parco, które w Polsce nie są znane, a w Japonii funkcjonują do dziś. Parco od początku istnienia wspiera młodych twórców i poszukuje talentów w świecie mody. Daje również przestrzeń, w której może się pojawić sztuka, teatr, film. Oni to krzyżują, łączą część handlową z częścią kulturalną, tworząc tzw. centrum artystyczne. Wszystko zaczęło się od właściciela, to on podjął decyzję z jakimi ludźmi będzie współpracował, i do pierwszych

kampanii tworzących markę Parco wybrał właśnie Eiko Ishio-kę, która na swój sposób opowiadała czym jest Parco. Jest to wyjątkowe zjawisko, niemające porównania w Polsce. Możemy wspomnieć Stary Browar, w którym mamy galerię handlową, ale też tę niewielką część artystyczną, gdzie odbywają się wystawy, jak teraz ta wokół Andy'ego Warhola. Ale to współcześnie, w latach 70. i 80 coś takiego nie istniało.

Można powiedzieć, że polskie domy mody i graficy, tworzący dla nich plakaty, w pewien sposób szerzyli wieść o tym, co działo się na paryskich wybiegach?

Według mnie były one nośnikiem tego francuskiego szyku, elegancji i nowoczesności. U nas wówczas nie było gazet, w których byłyby zdjęcia z pokazów mody. Dlatego tym niewielkim załączkiem były chociażby te plakaty, które za pomocą graficznych środków oddawały ten klimat. Do tego była jeszcze gazeta „Ty i ja”, gdzie przedrukowywane były zdjęcia z francuskiego Vogue’a czy Elle. Mamy ją w kolekcji, ale niestety nie będzie już dla niej miejsca na wystawie. Natomiast zaprosiliśmy kuratorkę z Warszawy dr Agatę Szydłowską, która opowie o modzie i ciele na łamach miesięcznika „Ty i Ja”. Będzie to ciekawy akcent, towarzyszący wystawie, który połączymy z pokazem kilku egzemplarzy i projektów tego czasopisma.

Czy oszczędność formy, którą będziemy mogli zaobserwować na plakatach, może na nowo zainspirować polskie ulice, które formy nie oszczędzają?

Najciekawsze w plakatach japońskich jest to, że opowiadają one o modzie, nie używając często modowych akcesoriów. To są obrazy atrakcyjne wizualnie, dopiero po pewnym czasie, odkodowując je, orientujemy się, że dotyczy to tak naprawdę mody. Najczęściej są to plakaty wizerunkowe dla firm modowych i kosmetycznych. Te najbardziej artystyczne dotyczą bardziej niszowych marek. To jest moda awangardowa, tak samo plakaty. Też były awangardowe. I właśnie artystyczność tych plakatów jest najbardziej kluczowa, mimo upływu czasu one wcale nie straciły na jakości i świeżości. To są dzieła z lat 80., 90., ale nie czujemy, że jest to coś *passé*, wciąż pozostają one



atrakcyjne i ponadczasowe. Wiele z nich mogłyby dziś pojawić się na współczesnych ulicach, właśnie ze względu na swoją nieoczywistą formę i abstrakcyjność.

Dlaczego nie ma teraz artystycznych plakatów modowych?

Nie wiem dlaczego. Wydaje mi się, że duże koncerty w ogóle nie są tym zainteresowane, ale tak chyba było zawsze. Najczęściej plakaty artystyczne związane są z małymi firmami i być może ten rynek jeszcze nie widzi możliwości, by powiązać to z jakąś ciekawą grafiką. U nas nie ma takiej tradycji, a przecież obecnie mamy takie niewielkie domy mody i mamy wspaniałych grafików. Może udałoby się to gdzieś połączyć? Byłoby świetnie!

Wystawie towarzyszyć będzie również bardzo ciekawy program – więcej informacji dostępnych na www.mnp.art.pl.

ANDY WARHOL

A KIND OF RETROSPECTIVE



WYSTAWA DO 28.02.2026
STARY BROWAR W POZNANIU

POP CULTURE
GALLERY
WYSTAWY
STARY BROWAR



BCR Creatives

nowonico

*dynks

WAKO 157

TO BEL

City of Poznań



Niespodzianki Andy'ego

Wystawa „Andy Warhol. A Kind of Retrospective”

w Pop Culture Gallery w Starym Browarze

Tekst: Marta Kabsch-Niedbalska

Zdjęcia: Marek Zakrzewski

Słyszysz: Andy Warhol, myślisz: zupa Campbell's i Marilyn Monroe? Okazuje się, że o amerykańskim mistrzu pop-artu wiemy stosunkowo niewiele. Ilustracje w książkach kucharskich, reklamy, polaroidy, instalacje wideo, tekstylia, NFT – ekspozycja „Andy Warhol. A Kind of Retrospective” w Pop Culture Gallery w Starym Browarze to przegląd przez zaskakujące dziedziny twórczości srebrnowłosego geniusza.

Gości Pop Culture Gallery już przed wejściem wita sam Warhol. Kurator, Wojtek Piotr Onak, zamiast umieścić na plakacie wystawy jedną z popularnych prac artysty, sięgnął po jego portret wykonany przez słynnego fotografa Richarda Avedona. Andy patrzy prosto w obiektyw. Unosi skórzaną kurtkę, spod której wylania się brzuch pokryty bliznami – pamiątka po dramatycznym wydarzeniu z 3 czerwca 1968 r., kiedy Valerie Solanas postrzeliła Warhola. „Naprawdę, jaki jesteś, nie wie nikt” – nucę w głowie, patrząc na to zdjęcie. Warhol jest jednocześnie delikatny i drapieżny. Wyzywający i wycofany. Krytyczka Dorothea Jarecka powiedziała, że „sam w sobie był zjawiskiem, które wydaje się ciekawsze od sztuki, którą tworzył”. Andy Warhol – człowiek, artysta czy dzieło?

Chłopiec z Pittsburgha

Biografia Warhola wciąga tak samo jak jego sztuka. W pierwszej sali Pop Culture Gallery, na dużej osi czasu kurator wypunktował najważniejsze wydarzenia z życia prywatnego i zawodowego artysty. Tutaj dowiemy się o chorobie małego Andy'ego, relacjach z rodzicami, homoseksualnych związkach. 1949 rok to kamień milowy – artysta, jeszcze jako Andrew Warhola, przeprowadził się do Nowego Jorku. Wtedy zaczął się spełniać jego „American dream” – chłopiec z Pittsburgha wszedł do fascynującego świata artystycznej bohemy. Ale zanim wypłynął na szerokie wody nowojorskiej śmietanki, pracował jako grafik projektowy i rysownik. Realizował zlecenia:



ilustracje do magazynów modowych, książek, reklamy. Dostawał feedback, robił poprawki, oczywiście, „na asapie”. Kiedy z nieśmiałego „newbie” z prowincji zmienił się w ikonę i rozchwytywanego artystę, wcale od świata komercji się nie odciął, wręcz przeciwnie. Podważanie granic między sztuką i komercją, między codziennością i wzniosłością, dziełem a przedmiotem użytkowym pozostało *modus operandi* Warhola na kolejne dekady. Stawiam, że byłby zachwycony, że jego wystawa odbywa się w galerii zlokalizowanej w centrum handlowym, w pobliżu sklepów znanych marek.

Oko w oko z Salvadorem Dalim

Gdyby jednak Warhol osobiście odwiedził Stary Browar, pewnie nie poszedłby na wystawę, a do kina. Artysta od dzieciństwa fascynował się światem filmu. Jako kilkulatek wycinał z magazynów zdjęcia ulubionych aktorek i aktorów. W prowincjonalnym Pittsburghu lat 30. i 40. kino było jedną z niewielu dostępnych form kulturalnej rozrywki. Warhola kojarzymy z sitodrukami i obrazami, ale to właśnie wideo było jednym z najważniejszych mediów artystycznych i polem prekursorskich eksperymentów. Pierwszą kamerę pozyskał na

własność w 1963 r. Na kolejnym piętrze Pop Culture Gallery kurator zaprasza publiczność do srebrnej sali kinowej – to nawiązanie do wnętrza pracowni Warhola, The Factory. Dzięki wypożyczeniom z Andy Warhol Museum w Pittsburghu zobaczycie tu m.in. trzy prace z serii „Screen Tests”. Minimalistyczne wideoportrety były kroniką towarzyską Nowego Jorku lat 60. Przed kamerą Warhola stawali sławni piosenkarze, piękne modelki, artyści. Ich zadaniem było „po prostu być” – wytrzymać przez cztery minuty uporczywe spojrzenie obiektywu. Okazywało się to trudne. W galerii przekonacie się, że nawet wielki Salvador Dali wydaje się jakby... speszony. „Warhol badał czas, obecność, nudę – i pokazywał, że film nie musi opowiadać historii, aby działał” – pisze kurator, Wojtek Piotr Onak.

Rolling Stones i Chopin

W tytule wystawy „A Kind of Retrospective” kryje się obietnica nieoczywistego spojrzenia na sztukę Warhola i jest to obietnica spełniona. Na wystawie w Pop Culture Gallery przekonuję się z całą mocą, że mimo dyplomu magistra historii sztuki, o amerykańskim królu pop-artu wiem niewiele. Podczas studiów „oklepane” dzieła z puszką zupy Campbell’s i Marilyn Monroe skutecznie zniechęciły mnie do zagłębienia się w jego twórczość. Prace wideo to tylko jedno z tych nowych odkryć. Niespodzianek – i zachwyków – jest więcej. Dzięki staraniom kuratora i współpracy z wieloma prywatnymi kolekcjonerami, w Starym Browarze możemy zobaczyć prawdziwe perełki. Subtelne rysunki z serii Homoerotica. Tekstylna z wzorami zaprojektowanymi przez Warhola. Polaroidy, które były obrazkowym pamiętnikiem – „ale nie dla mnie, tylko dla wszystkich”, jak podpowiada cytat umieszczony na ścianie galerii. Z Belgii do Poznania przywieziono pełną kolekcję okładek płyt winylowych zaprojektowanych przez Andy’ego. Są tu kultowe wydania, jak The Velvet Underground z bananem i płyta Rolling Stones „Sticky Fingers” z zamkiem błyskawicznym. Ale są też kreślone delikatną, nieśmiałą kreską ilustracje do winyli z muzyką Mozarta i Chopina.



Warhol w blockchainie

Gdybym jednak miała wskazać historię i pracę, która najbardziej mnie na wystawie zaskoczyła, bez wahania powiem: NFT. Pewnie uniesiecie brwi i powiecie: „jak to?”. NFT (*Non-Fungible Token*), czyli sztuka w formie cyfrowych artefaktów, to domena XXI wieku – co ma wspólnego z artystą nieżyjącym od blisko 40 lat? W 1985 r. firma Commodore International zatrudniła Warhola jako ambasadora komputera Amiga 1000 (tak, Warhol był influencerem). Podczas premiery produktu twórca wystąpił na scenie Lincoln Center, gdzie na żywo wykonał na komputerze portret piosenkarki Debbie Harry z zespołu Blondie. „W ostatnich latach odkryto nieznanne dotąd cyfrowe prace Warhola – stworzone w połowie lat 80. na komputerze Amiga Commodore” – tłumaczy kurator Wojtek Piotr Onak. „Zapisane na starych dyskietkach, po dekadach zostały odczytane i przekształcone w format NFT, stając się jednym z najgłośniejszych wydarzeń na styku sztuki i technologii”. Wykonany na Amidze autoportret artysty prezentowany jest publicznie po raz drugi w historii. Czy dziś Warhol rysowałby Bitcoiny, przyjaźnił się z Kim Kardashian i pokazywał na Instagramie każdy zje-

dzony posiłek? A może, na opak – byłby offline i szkicowałby węglem na ścianach jaskiń? W świecie Andy’ego każdy scenariusz wydaje się prawdopodobny.

Andy Warhol. A Kind of Retrospective

Pop Culture Gallery, Stary Browar, Poznań

Wystawa czynna do 28.02.2026 r.,

wt.-ndz. w godz. 12:00-20:00

Kurator: W P Onak

Informacje o biletach wstępu

- bilety: 20 zł, do nabycia przy wejściu na wystawę oraz na platformie ToBilet.pl
- promocja 1+1 gratis dla uczniów, studentów i seniorów: od wtorku do czwartku
- 1. wtorki miesiąca – wstęp wolny
- promocja Kultura Zakupów: wstęp gratis z paragonami ze sklepów i punktów w Starym Browarze o wartości min. 90 zł (z danego dnia)

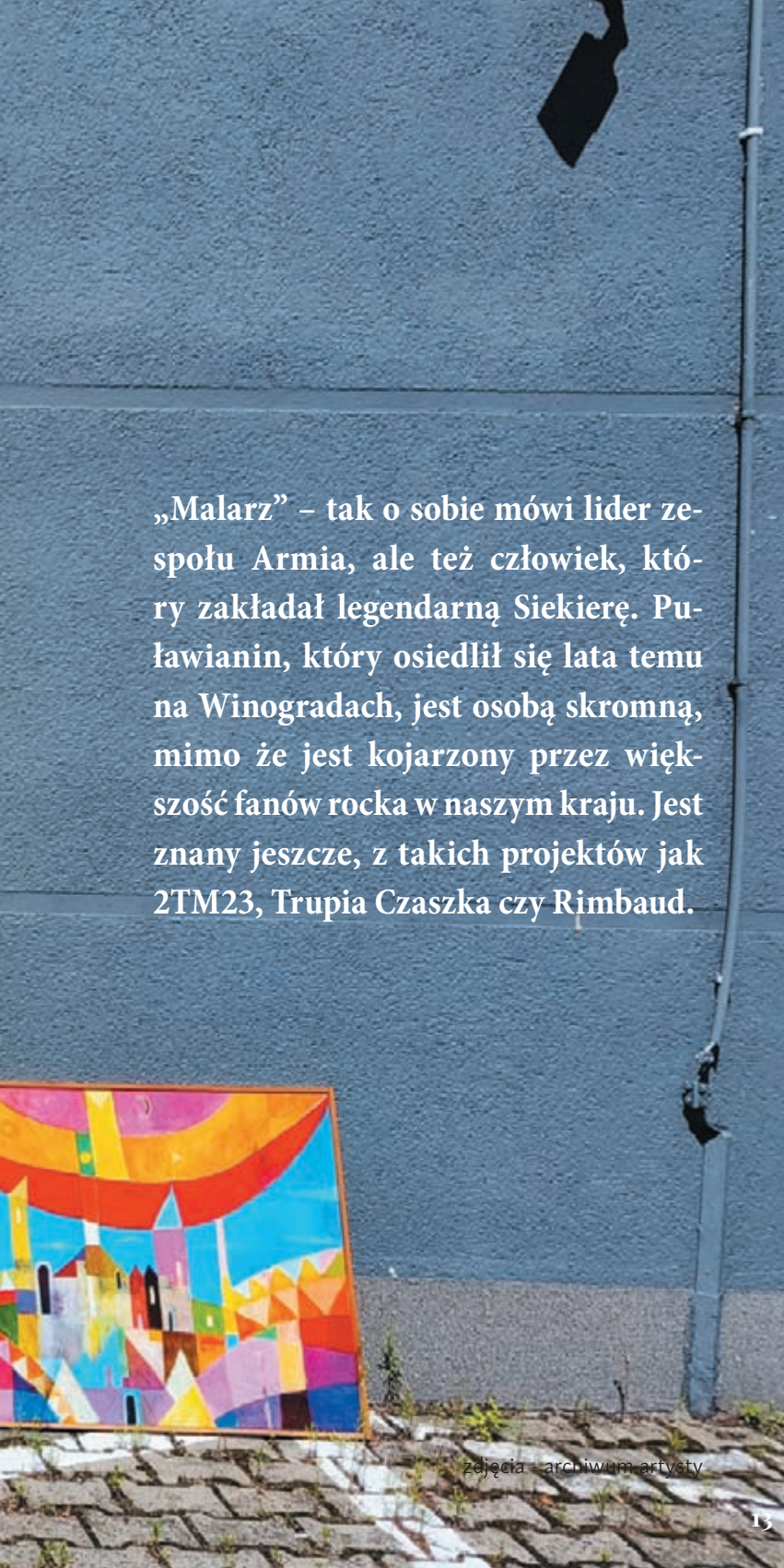


„Miłość jest możliwa”

Wywiad z Tomaszem Budzyńskim
– liderem zespołu Armia

Rozmawiał: Michał Krupski





„Malarz” – tak o sobie mówi lider zespołu Armia, ale też człowiek, który zakładał legendarną Siekierę. Puławianin, który osiedlił się lata temu na Winogradach, jest osobą skromną, mimo że jest kojarzony przez większość fanów rocka w naszym kraju. Jest znany jeszcze, z takich projektów jak 2TM23, Trupia Czaszka czy Rimbaud.

zdjęcia: archiwum artysty

Często rozmowy z Tobą zaczynają się od zdania: „Nie chciałbym zacząć od czegoś banalnego”. Ja pójdę pod prąd i zacznę właśnie w prosty sposób. „Jestem bardziej malarzem niż muzykiem” – tak zawsze o sobie mówisz. Ludzie znają Cię jednak przede wszystkim jako muzyka. Dlaczego tak się stało, że jesteś kojarzony głównie z muzyką, a nie z malarstwem?

Od dziecka najwięcej radości sprawiało mi rysowanie i malowanie, dlatego naturalne było dla mnie liceum plastyczne, a potem studia na historii sztuki. Tak wyobrażałem sobie moją przyszłość i tak zwane dorosłe życie. Ja uważałem się przede wszystkim za malarza. Muzyka przyszła do mnie niespodziewanie i w sposób czarodziejski, jak miałem mniej więcej 7 lat. Podczas wakacji u babci bawiliśmy się z innymi dziećmi w chowanego. Ukryłem się za jakimś krzakiem, pod oknem domu sąsiadów. Okno było otwarte i wydobywała się z niego jakaś niezwykle piękna muzyka. Ja tak siedziałem w kucki i słuchałem tej cudownej muzyki do końca, kompletnie zapomniałem, że bawimy się w chowanego. Dziś, jak to wspominam, wydaje mi się, że mogłaby to być któraś sonata Debussy’ego. To było bardzo ważne wydarzenie w moim życiu. W mojej rodzinie nie było żadnych muzycznych tradycji, w domu nie było żadnych instrumentów. Byliśmy ubodzy, ale mieliśmy radio i tam po raz pierwszy usłyszałem Pink Floyd i Joy Division. Nigdy nie wyobrażałem sobie, że sam będę grać czy śpiewać. To, że zacząłem śpiewać w zespole, to był przypadek. Jako nastolatek najpierw przebierałem się za hipisa, a później za punkowca, słuchałem bardzo dużo muzyki. Punk nie wymagał wielkich umiejętności – jak to śpiewa Patyczak: „trzy akordy i darcie mordy”. Zespół Siekiera powstał w sposób spontaniczny, że się tak wyrażę – na podwórku pod blokiem.



Ale jednak Twoja droga zaczęła się od muzyki.

No nie, od muzyki... Jak wcześniej powiedziałem, zawsze uważałem się i dalej uważam za malarza. Jak założyliśmy Siekierę, to najpierw graliśmy covery: Exploited, UK Subs czy Discharge – można powiedzieć, uczyliśmy się dopiero grać. Nie tak od razu stworzyliśmy własny repertuar. W końcu trafiliśmy na Festiwal do Jarocina w 1984 roku i wystąpiliśmy w konkursie. Nasz koncert trwał dwadzieścia minut, ale radykalnie zmienił moje życie. W jednej chwili ten „zespół znikąd” – tak o nas mówiono – stał się gwiazdą polskiego rocka.

No tak – legendarna Siekiera na Jarocinie...

Pamiętam, że ludziom po prostu opadły szczęki. Graliśmy bardzo prostą i bardzo brutalną muzykę z dość ekscentrycznymi, artystycznymi tekstami. Nie spodziewaliśmy się, że zrobi to tak kolosalne wrażenie.

Nie była to jednak długa przygoda.

Bardzo szybko opuściłem ten zespół. Gdy Robert Brylewski i Sławek Gołaszewski dowiedzieli się o tym, od razu zaproponowali mi współpracę. Mogę powiedzieć, że speł-

niło się wtedy moje marzenie z dzieciństwa, mogłem tworzyć i śpiewać to, co mi naprawdę w duszy gra. W Siekierze było to niemożliwe. Dlatego odszedłem. Tak powstał zespół Armia, w którym śpiewam do dziś.

Czyli muzyka była przypadkiem, a malarstwo – Twoim naturalnym wyborem?

Dokładnie tak. Jeśli miałbym wskazać dziedzinę, w której wyrażam się najpełniej, to jest to właśnie malarstwo. Oczywiście piszę też własne teksty, które dotyczą moich przeżyć, ale najgłębiej wyrażam się właśnie poprzez sztukę. Jest to dla mnie bardzo naturalne i nie wymagające jakiegось, nie wiadomo jakiej, „artystycznej pozy”.

Jak wyglądało zaistnienie jako malarz? W latach 80. to musiało być trudniejsze niż dzisiaj.

W latach 80. to ja byłem jeszcze bardzo młody i na początku swojej artystycznej drogi. To były dopiero poszukiwania własnego stylu i języka. Aby zaistnieć, trzeba być w jakimś szerszym, artystycznym środowisku, np. na akademii sztuk pięknych w dużym mieście, a ja mieszkalem w Puławach i moje obrazy widziało tylko kilku znajomych. Pierwszą wystawę miałem dopiero jakieś 25 lat temu na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, gdzie wcześniej studiowałem przez rok historię sztuki. Sprzedawałem nawet jeden obraz, kupił go mój przyjaciel Wojciek Czern z zespołu Za Siódmą Górą.

To w jaki sposób pokazujesz światu swoje obrazy?

Mam stronę w internecie, gdzie można zobaczyć moje obrazy i grafiki, a od czasu do czasu ktoś zorganizuje mi wystawę. Nie wystawiam w galeriach i nie istnieję na żadnym „rynku sztuki”. Nigdy nie miałem ambicji, żeby się „sprzedawać”. Maluję, bo mam taką wewnętrzną potrzebę, a jak ktoś bardzo chce mieć mój obraz na ścianie, to się z nim mogę prywatnie umówić.



Czy powiedzieć, że malarstwo i muzyka się u Ciebie uzupełniają i mają na siebie wzajemny wpływ?

Zdecydowanie tak. Malarstwo wpływa na moją muzykę, bo ja postrzegam świat obrazami. Teksty, które piszę, są jak opisy plastycznych wizji – to nie są jakieś filozoficzne idee czy komentarze do aktualnej rzeczywistości, tylko moje duchowe obrazy. Michał Jasaszek, z którym często współpracuję, powiedział kiedyś, że muzyka Armii jest muzyką ilustracyjną. Nie może być inaczej, bo to jest po prostu muzyka tworzona przez malarza.

Malujesz w ciszy czy przy muzyce?

Malowanie to jest prawie kontemplacja, ale ja zawsze maluję przy muzyce – mógłbym oczywiście pracować w ciszy, ale nie mogę się powstrzymać, żeby czegoś nie posłuchać. Najczęściej słucham klasyki: Bacha, Debussy'ego, Chopina. Bacha słucham codziennie, nie wyobrażam sobie dnia bez niego, jego muzyka ma właściwości, że się tak wyrażę – lecznicze. Sakralizuje się przestrzeń. Rocka słucham rzadziej, ale czasem sięgam. Nie jest tak, że gram w rockowym zespole i nie obchodzi mnie, co się dzieje. Np. ostatnio bardzo spodobała mi się nowa płyta The Young Gods – *Appear Disappear*.

Czy wg Ciebie sztukę trzeba w jakiś sposób rozumieć?

Dla mnie sztuka to bardziej kwestia czucia, a nie rozumienia, ponieważ sztuka nie jest skierowana do intelektu, tylko o wiele głębiej, do duszy ludzkiej. Tam następuje to tajemnicze spotkanie, ta rozmowa dusz. Wzruszenie i zadziwienie. Obraz albo cię porusza, albo nie. Odbiór sztuki jest całkowicie subiektywny. Dlatego tak zwana „krytyka sztuki” jest w zasadzie czymś dziwnym i z lekką podejrzaniem. Van Gogh powiedział, że celem sztuki jest miłość bliźniego. Ja się trzymam tej starożytnej platońskiej zasady, że w sztuce musi być piękno, dobro i prawda. Chciałbym, aby człowiek przez kontakt z moimi obrazami czuł się kochany. To samo staram się robić w Armii. Tu chodzi o to, aby wyrazić to, co jest tak naprawdę niewyraźne.

Ile zajmuje Ci namalowanie obrazu?

Maluję dość szybko, zrywami, czasami kilka obrazów naraz. Używam techniki akrylowo-olejnej. Podmalówki robię akrylami, dzięki czemu obraz szybko schnie i tak to idzie...

Jak rozpoznajesz moment, w którym obraz jest już skończony?

W procesie twórczym przychodzi taki moment, że obraz zaczyna żyć jakby własnym życiem. Paul Klee mówił, że w pewnym momencie obraz na niego „patrzy”, a kiedy obraz zaczyna patrzeć, wiadomo, że wtedy dopiero jest skończony. To tak jak prawosławna ikona, która „patrzy” na ciebie. Ale to jest okno do Nieba. To są ciekawe intuicje, bo nawet Nietzsche mówił, że „kto patrzy w otchłań, musi bardzo uważać, bo otchłań też patrzy na niego”. Sztuka jest działalnością duchową i w niej przenikają się światy. Dlatego istnieje według mnie coś takiego jak odpowiedzialność artysty. Od tego momentu, kiedy obraz jest skończony, każdy może go interpretować po swojemu. Tak jakby nie należy już do mnie.



Nie chciałeś być muzykiem, nie masz wykształcenia muzycznego, a mimo to stworzyłeś kawał muzyki, która dziś jest uznawana za kultową. Jak to możliwe?

Ja po prostu byłem trochę muzykalny i miałem to szczęście, że grałem ze znakomitymi muzykami. To jest naprawdę wielkie szczęście i zaszczyt. Gdy powstawała płyta Armii „Legenda”, nikt z nas nie przypuszczał, że stanie się ona czymś ważnym dla tylu ludzi. To jest wielka tajemnica sztuki.

Masz ponad 60 lat i jak sam twierdzisz, jesteś w świetnej formie wokalne. Jak zmieniało się Twoje podejście do śpiewania na przestrzeni lat?

Na początku, ponad 40 lat temu, złapałem mikrofon i starałem się naśladować wokalistę z zespołu Discharge,

który bardzo dobrze darł ryja. Chyba nawet nieźle mi z tym szło. Z czasem sam nauczyłem się panować nad swoim głosem i teraz robię pewne rzeczy świadomie. Nigdy nie brałem żadnych lekcji śpiewu, jestem samoukiem. Wydaje mi się, że teraz jestem w najlepszej formie wokalne w życiu. Wyrobiłem się, bo śpiewam psalmy jako kantor w chrześcijańskiej wspólnoty. A psalmy egzorcyzmują rzeczywistość.

Czy to oznacza, że wcześniej wszystko działo się spontanicznie?

Dokładnie, wszystko wychodziło spontanicznie. Teraz potrafię świadomie kontrolować swój instrument – gardło. Dzięki temu mogę wytrzymać dwugodzinny koncert zespołu Armia, który jest bardzo energetyczny.

Jak wygląda to w kontekście wieku?

Ja mam 63 lata i to, że wytrzymuję tak długi koncert muzyki, jak to się mówi, czadowej, to jest dla mnie jakiś cud. To oczywiście takie starcze podrygi... Ale ja cały czas bardzo to lubię, po prostu lubię śpiewać w zespole Armia.

Czy Twoje podejście do muzyki zmieniło się również pod względem treści i twórczości?

Wystarczy posłuchać płyt, które nagrałem przez te 40 lat. Ja jestem artystą niezależnym i nikt mnie nie zmusi do tego, abym śpiewał coś, czego nie czuję. Nagrywam bardzo różne rzeczy w różnych składach, bo w jednej szufladce bardzo szybko bym się znudził. Sztuka jest dla mnie czymś tajemniczym i fascynującym, dlatego swoją twórczość określam jako bajkową. Nigdy nie wydałem na płycie utworu, który by mi się nie podobał, dlatego trudno mi na przykład powiedzieć, która płyta Armii jest moją ulubioną. Ja bardzo wzięłem sobie do serca to, co papież Jan Paweł II powiedział kiedyś o powołaniu artysty, że powinien być jak ten pies, co liże rany Łazarza. Bo istnieje Prawda, której nie da się ukryć, to wołanie, które słyszy każdy człowiek gdzieś

w swoim sercu. O tym właśnie śpiewam na nowej płycie *Armii Wojna i Pokój*, którą wydaliśmy w tym roku. Jestem szczęśliwy, że mogę to robić, bo ja chcę tylko przekazać, że życie ma sens, a miłość jest możliwa.

Nigdy nie byłeś osobą, która próbuje kontrowersyjnie zaistnieć w mainstreamie, jak na przykład Maciej Maleńczuk, który dzięki swojemu wizerunkowi sprzedaje całe duże sale koncertowe...

Mnie to nie interesuje, ja chcę spokojnie pracować i móc śpiewać, co chcę, bez cenzury i przymusu. Nie mam ochoty nikogo udawać i nie dążę do jakiejś „doskonałości”. Nie lubię występować na dużych festiwalach. Zdecydowanie wolę koncerty klubowe lub małe festiwale, takie jak np. Rock na Bagnie, gdzie atmosfera jest wyjątkowa. Ja lubię widzieć z bliska ludzi, dla których śpiewam. To mi daje siłę i satysfakcję, bo moja sztuka jest skierowana do kogoś, nie jest jakąś wydumaną i abstrakcyjną ideą – sztuką dla sztuki. Nie potrzebuję wiele do szczęścia. Sam fakt, że ktoś jest wzruszony moim śpiewaniem, jest dla mnie wystarczającą nagrodą.

Czy w ostatnich latach był jakiś okres, który wpłynął szczególnie na Twoją twórczość?

Tak. Pandemia. Było wtedy bardzo dużo czasu do poważnej refleksji egzystencjalnej i duchowej. To bardzo odbiło się na mojej twórczości, bo pracowałem wtedy nad płytą solową i kolejną płytą *Armii*. To było jedyne w swoim rodzaju doświadczenie, bo nagle człowiek odkrywa swoją bezsilność i to, jak bardzo niewiele od niego zależy. To jest bardzo dobre, bo przywraca człowiekowi jego prawdziwe wymiary. Nagle wiele rzeczy okazuje się niepotrzebnych, zostaje to, co prawdziwe i naprawdę ważne. Miłość i jedność. Moja żona wpadła na pomysł koncertów domowych, które publikowaliśmy, najpierw codziennie, a potem co tydzień, na YouTube. Było tego prawie sto... Dużo się wte-



dy modliłem i doświadczyłem, że Bóg nie opuszcza grzesznika. Dzięki temu przeżyłem ten czas bardzo kreatywnie, miałem też źródło dochodu, bo ludzie pytali się o obrazy.

Powiedz coś o swoim solowym projekcie. Raczej nie działasz z nim prężnie.

Nagrałem już cztery płyty solowe. Ostatnia „Pod wulkanem” ukazała się dwa lata temu. Koncertów solowych jest mało, może trzy razy w roku, ale bardzo je lubię, bo mogę grać własną muzykę akustyczną, trochę w innym stylu niż *Armia*. To jest dla mnie niesamowita przygoda, otwarcie na nowe horyzonty i współpraca w niezwykłymi artystami, takimi jak na przykład Michał Jacaszek.

W Poznaniu, gdzie fajnie się gra?

Dobrze mi się gra w Blue Note, tamtejsza sala bardzo dobrze brzmi.

Przez Twoje życie przewinęło się wielu muzyków, ale chciałbym skupić się na dwóch osobach, które najbardziej na Ciebie wpłynęły – Sławek Gołaszewski i Robert Brylewski.

To są współzałożyciele zespołu Armia i osoby, które miały największy wpływ na mój rozwój muzyczny. Szczególnie inspirujące było dla mnie spotkanie ze Sławkiem Gołaszewskim, który był filozofem z wykształcenia i pracował też jako dziennikarz w radiu. Potrafił w bardzo ciekawy sposób uzasadnić to, co wspólnie robiliśmy. On był wzruszającym, mistycznym poetą. Jego wpływ na mnie był ogromny i bardzo wiele mu zawdzięczam. Mogę powiedzieć, że w jakimś sensie jestem jego uczniem.

A Robert Brylewski?

Robert stworzył unikalne brzmienie Armii, to znaczy w jakiś przedziwny sposób zaadaptował technikę dub



z reggae do hardcore'owej muzyki, którą graliśmy na początku. Dzięki temu powstał naprawdę wyjątkowy i bardzo oryginalny sound – nie ma drugiego tak brzmiącego zespołu. To byli wspaniali i szlachetni ludzie.

Śledzisz poznańskie podwórko artystyczne?

Nie, to żebym od razu śledził... ale na przykład bardzo podoba mi się zespół The Hilgrims, który w tym roku wydał swoją pierwszą płytę *Old Meadow Bells*.

Opowiedz coś o rodzinie, bo nie są anonimowymi postaciami i zapewne jako głowa rodu jesteś z nich dumny.

Moja żona jest pisarką i pracuje właśnie nad biografią Władysława Hasiora. Nasze dzieci współpracują ze mną na różnych płaszczyznach, Nina projektuje okładki dla wielu moich projektów, a Stasiek gra w Armii na gitarze. Najnowsza płyta *Wojna i Pokój* to przede wszystkim jego kompozycje. Będziemy je grać niebawem w Poznaniu – 11.X w Blue Note.

Na koniec postaram się zadać trudniejsze pytanie, bo nie ma zbyt wielu osób, które mogłyby o tym podyskutować. Czy punk rock i chrześcijaństwo mogą iść w parze?

Paradoksalnie tak, czego dowodem jest płyta zespołu Budzy & Trupia Czaszka – *Uwagi* oparta o teksty osiemnastowiecznego jezuity, księdza Józefa Baki. Kto nie wierzy, niech sam się przekona.

CZAS NA TEATR

FESTIWAL

**SPEKTAKLE
KONCERTY
KONFERENCJE
GALERIA KOSTIUMÓW
SPOTKANIA Z ARTYSTAMI
i wiele innych...**

**POZNAŃ
18-25.11.2025**

WIĘCEJ INFORMACJI ORAZ BILETY ZNAJDZIESZ NA: WWW.TEATR-MUZYCZNY.PL



A man and a woman are standing in front of a dense wall of green ivy. Both are wearing brown suede jackets over black turtlenecks. The man, on the right, has long, dark, curly hair and is looking directly at the camera with a serious expression. He is holding the woman's hand. The woman, on the left, has dark hair pulled back and is looking slightly to the side. She has a small circular accessory in her hair. The text is overlaid on the lower half of the image.

„To dopiero początek”

Zuta o miłości, muzyce i ...nowych początkach

Rozmawiała: Zofia Myślicka

Zdjęcia: Sylwia Klaczyńska

Poznań to ich dom, ale sceny, na które celują wykraczają daleko poza lokalne granice. Duet Zuta właśnie wydał swój debiutancki album pt. *To dopiero początek* i trudno o trafniejszy tytuł – w ich głosach słysząc ekscytację, energię i głód nowych wyzwań. Zuzia i Maks to para, która swoją chemię przenosi ze sceny do życia codziennego i odwrotnie. Rozmawiamy o nostalgii, pierwszych muzycznych olśnieniach, pracy w duecie i marzeniach, które prowadzą ich prosto na wielkie sceny.

Wywodzicie się z Poznania. Jakie ma on dla Was znaczenie w kontekście Waszej tożsamości?

Zuzia: Poznań to nasz dom i z pewnością nim pozostanie. Nie mamy nic przeciwko temu, żeby takich miejsc mieć na świecie wiele. Bez wątpienia jednak Poznań nie zniknie z naszych serc!

Czy od początku czuliście, że tworzycie zgrany duet – prywatnie i publicznie?

Z: Życiowo pierwsza randka była dla nas wystarczająca. Muzycznie pierwszy, wspólny utwór! Przede wszystkim liczy się nasza ekscytacja. Jeśli dla nas coś nie działa, nie krępujemy się, by pokazać to innym. Przyznamy jednak, że nie spodziewaliśmy się takiego zainteresowania tym, co tworzymy! Nie należymy do osób, które z góry zakładają sukces. Jednocześnie tego sukcesu się nie boimy i działamy tak, jakby miał szansę nastąpić. Jak inaczej wpuścić go do swojego życia? Jeśli będziemy działać asekuracyjnie, nigdy nie doczekamy się wielkich scen, bo za dużo jest osób zdolnych, by wystarczyło mieć „to coś”. Jeszcze trzeba to obwieszczać wszem i wobec, żeby sięgnęło odpowiednich osób!

Czy w pracy nad dużym projektem, takim jak album, zdarzają się momenty, w których musicie się nawzajem motywować?

Z: Absolutnie! I to nie tylko przy tak dużym projekcie. Wzajemna motywacja przydaje się też, gdy za oknem deszcz, a ktoś musi wyprowadzić psa. Wspólna praca wymaga od nas umiejętnego korzystania z tego, czego uczymy się w życiu codziennym.

Największą motywacją do robienia płyty jest rozmawianie o naszych sukcesach, rzeczach, które się udały, które mogą się wydarzyć - w pojedynkę pewnie łatwo uwierzyć kilku hejterskim komentarzom, ale to znika, wypowiedziane na głos. Mamy farta mieszkać pod jednym dachem z osobą, której umiejętności podziwiamy i szanujemy. Z niecierpliwością czekamy wzajemnie na kolejne, artystyczne propozycje. Może w sumie, w tej dziedzinie, bardziej się prowokujemy niż motywujemy. Ha!

Spędzacie ze sobą dużo czasu – prywatnie i twórczo. Jak radzicie sobie z momentami, kiedy macie inne wizje artystyczne?

Z: Jeśli faktycznie nie możemy się zgodzić odkładamy temat do szuflady. Pierwszeństwo mają rzeczy, które nas oboje odpalają. Często później przeszukujemy te „szuflady”, wycinamy z nich to, co działa, łącymy czymś nowym, rozmawiamy o tym, co w ogóle sprawiło, że wciąż wracamy myślami do tych „szkiców” i bywa, że rodzi się zupełnie świeży temat. Nie ma zasady! Oprócz jednej – musi być obopólna ekscytacja. No i komunikacja, komunikacja, komunikacja. Często czytamy sobie w myślach, ale to nie sprawia, że wymagamy od siebie czytania w myślach.

Wasz nowy album nosi tytuł *To dopiero początek*. Czy to odniesienie do Waszej drogi artystycznej, czy może szersza refleksja nad życiem i przyszłością?

Z: Zawieramy w nim cały miniony rok. To nie tylko muzyczna przygoda, ale zrośnięta z nią droga życiowa. Nigdy nie byliśmy tak szczęśliwi, tak spełnieni, ani tak zapracowa-



ni. (śmiech) Dostaliśmy pozytywnego kopa i czujemy, że ktoś nas naprawdę słucha, że ktoś czeka, ktoś tęskni. Daliśmy się porwać nurtowi i z pokorą przyjmujemy wszystkie nauki. Raz na wozie, raz pod wozem, ale liczy się tylko następny krok. Taką mamy niegasnącą nadzieję, że będzie okazja na te następne kroki.

Ten tytuł również kojarzy mi się z pewnego rodzaju otwarciem. Czy na nowej płycie pojawiają się utwory, które eksplorują nowe brzmienia lub tematy, od których chcecie zacząć swoją dalszą podróż muzyczną?

Z: Trafiony, zatopiony! Nie kryjemy, że jesteśmy bardzo dumni z naszego progresu. Już widzimy, że nasza twórczość ewoluuje. Otworzyliśmy się na świat szerszy, niż wcześniej dostrzegaliśmy. Płyniemy za inspiracjami, które nas samych zaskakują i dajemy sobie przestrzeń na eksplorację. Czasem wyjdzie kicha, a czasami nowy singiel. Co rusz odkrywamy gdzieś drzazgę, która wymaga oprawy muzycznej, a mogliśmy

ją ignorować całymi latami. Tak mało wydaliśmy wcześniej, że może lepiej widzimy to my sami niż nasi słuchacze. Z pewnością w okresie tworzenia EPki nie byliśmy nawet blisko brzmień, takich jak „ASAP” czy „Spektakularna maszyna”.

Czy był na tym albumie kawałek, który składaliście długo i mozolnie? A może częściej działaliście tak, że pomysł wpada nagle i od razu wiecie, jak to ma brzmieć?

Z: Nie ma zasady. Utwór „Nie to nie” powstawał z całą pewnością najdłużej, ale nie było to mozolne! Po prostu duże przerwy następowały między demo, nagrywaniem w berlińskim studio, znalezieniem odpowiedniego artysty do duetu, a premierą. Jednak jest to tylko kwestia żonglowania. Potem nagle pojawia się taki numer jak „Best”, którego całość zajmuje dosłownie cztery godziny. I do niczego nie trzeba już wracać. Po robocie. Nie mamy nawet preferencji działania. Pozwalamy utworom przepływać przez tę ludzką tkankę i nie wymagamy, nie złościmy się, co ma być, to będzie a jak nie, to nie!

„Co za stan”, ten singiel zawiera w sobie jaśniejsze emocje. Skąd pomysł, żeby pójść w stronę tak pozytywnego klimatu, skoro często balansujecie na mroczniejszych brzmieniach?

Maks: Pomysł na ten utwór podsunął kuzyn Zuty. Na wieść o zaręczynach napisał „zapytałbym o historię, ale wolę pocze-kać na piosenkę”. Miał pełną rację! Ten piękny stan zasłużył na utrwaleniu! Staramy się dawać głos wszelkim emocjom czło-wieczym. Góry i doliny leżą w naszej naturze. Akurat u Zuty dosyć hiperbolicznie, więc z łatwością, przychodzi jej podejmo-wanie tematów, które wielu ukrywa. Piosenki powstają o tym, co nie może wyjść z głowy. Mieli i mieli. Co za szczęście, że to nie tylko mroczne przemyślenia, ale też ekstaza!

Mówi się czasem, że artyści na swoich pierwszych płytach dają całą esencję, a na kolejnych ją rozwijają. Na tym etapie, jak czujecie, że zmieniliście się jako Zuta? Czy jest coś, co chcielibyście powiedzieć sobie z przeszłości, gdy dopiero za-czynaliście?

M: Nie zmienilibyśmy nic, ze strachu, że mogłoby się po-toczyć inaczej. Gdybyśmy mieli coś powiedzieć, może to byłoby „będzie dobrze”, albo „nie rycz tyle, bo nie ma o co” do Zuty, bo miała mnóstwo lęków, które się nigdy nie ziściły. Zmieniliśmy się, może nawet bardzo. Jednak czujemy, że ta zmiana to właś-nie wzrastanie i rozwijanie. Może i o nas okaże się to prawdą! Ale niczego nie bierzemy za pewnik. Jak to lubimy powtarzać „tym zajmiemy się przyszli my”.

W jednym z wywiadów wspominaliście, że na tym albumie mocno słysząc inspiracje z waszego dzieciństwa. Rzeczywi-ście, czuć tu nostalgię i podróż w czasie, słysząc te hity radio-we, o których mówiliście. Jak udało się Wam przełożyć je na klimat i brzmienie albumu?

Z: Oboje mamy te inspiracje bardzo różne. Jest jakaś siła w tym, że musimy sobie wzajemnie „pokazać” o co nam cho-dzi. Dojść do tego, co konkretnie ekscytuje nas w jakimś nume-rze, jakimś wspomnieniu. A dzięki temu, że mamy tę nietypową zbieranie inspiracji, chyba udaje nam się uniknąć wtórności. Maks weźmie coś od The Who, Zuta skubnie Madonny i tworzy



się nowe, nasze. Po prostu silniej oddziałują na nas emocjonalnie rzeczy, które dobrze znamy, więc naturalnie świetnie się bawimy czując jakąś nitkę łączącą numer z czasami dzieciństwa, marzeń i wyobrażeń o ich spełnianiu. Widząc, że cieszy to nie tylko nas poculiśmy się w tej dziedzinie bezkarni. Chcemy czuć.

Już niedługo będziecie supportować Simpl Red! To dla Was z pewnością duże wyróżnienie. Jakie emocje Wam towarzyszą?

Z: Po pierwsze – wielki zaszczyt! Szczególnie, że mamy świadomość, iż propozycji było kilka i zostaliśmy wybrani. To nie pierwszy raz, kiedy czujemy, że jesteśmy rzuceni na głębo-ką wodę, ale niezmiennie nie mamy nic przeciwko. Mamy peł-ną świadomość, że ten jeden supportujący występ może nic nie zmienić. Ale jesteśmy też otwarci na to, żeby nieźle namieszał!

M: Zuta nie może przestać liczyć w głowie metrów kwa-dratowych sceny w Tauron Arenie. Lepiej, żeby druga płyta nie zawiodła, bo głód wielkiej sceny raczej nie ma szans na zmniejszenie. Ja byłem przede wszystkim ciekawy. Ciekawy, jak wyglą-da tak wielka impreza od kulis. Jest też stres, oczywiście! Każ-de sięgnięcie po spełnienie marzenia jest ryzykowne. Ale hej! Tym będziemy się martwić przyszli my, a to dopiero początek.

A gdybyście mieli wskazać jeden nowy kierunek, jeden „po-czątek” dla Zuty w przyszłości – czy to muzyczny, artystycz-ny, czy może życiowy – co by to było?

Z: Gaz do dechy. Jeśli wydawało Wam się, że już działamy na pełnych obrotach - to dopiero początek.



„Naszą rolą jest robić rap, na jakim się wychowaliśmy”

Dwadzieścia pięć lat Pięć Dwa

Rozmawiała: Natalia Bednarz

W Poznaniu zna ich każdy. Kultowy zespół hip-hopowy z Dębca, założony przez Hansa i Deepa, debiutował na początku lat dwutysięcznych. Ich pierwsza płyta *Najwyższa Instancja* szybko zdobyła status legendy undergroundu. Po latach solowych działań i przerw w działalności, w 2025 roku wrócili z albumem *ADHD*, który przypomniat klimat dawnych czasów. Jak wspominają początki, co napędza ich dziś, jakie mają plany na przyszłość? Przeczytajcie.



Zdjęcia: Pięć Dwa, archiwum zespołu

Pierwsze pytanie będzie trochę nostalgiczne. Cofnijmy się do roku 2000. Konkretnie – do wieczornej audycji Radia Afera, w której przedstawiliście się poznańskiej publiczności, promując debiutancki album *Najwyższa Instancja*. Jak to było po raz pierwszy usłyszeć siebie w radiu?

Hans: To było tak dawno temu... Na pewno nie mieliśmy wobec tej audycji żadnych oczekiwań. Nikt z nas nie miał w głowie planu kariery ani poczucia, że radio jest jakimś kluczowym punktem. Po prostu robiliśmy muzykę – i nagle przydarzyła się audycja. Zupełnie inne emocje były przy późniejszym koncercie na Rozbracie – tam to była prawdziwa, wariacka impreza, jakich później już się nie robiło.

Deep: Ja absolutnie nie czułem żadnej powagi sytuacji. Był z nami Owal/Emcedwa jako młody, początkujący tak, jak my raper, oraz Iceman, który w tamtym okresie był już doświadczonym „mentorem” i wprowadzał nas w ten świat. Legendarne wskazówki „napierdalacie kurwa, a nie abebebe ebebebe”, które skierowane do Emcedwa poszło w eter, pamiętam do dziś. (śmiech) Zdaje się, że potem to nawet sampłowaliśmy! Była kupa śmiechu, ale nie braliśmy na poważnie, że radio może cokolwiek zmienić.

Wiele osób pamięta ten koncert. Czy chcielibyście wrócić do tamtych czasów, kiedy wszystko działało się samo – ludzie przychodzili na koncerty, kupowali kasety i nie trzeba było aż takiej promocji jak dziś?

H: Takie rzeczy dzieją się wciąż. Peja wrzucił ostatnio zdjęcia z osiedlowego koncertu – graffiti, DJ-e, rap. To nadal jest możliwe. Problem w tym, że kiedy ma się багаż doświadczeń i odpowiedzialności – kredyty, rodzinę, obowiązki – to brakuje czasu na takie spontaniczne akcje. Wybór jest prosty: albo koncert dla zajawki, albo czas z rodziną. Gdy jest się pół roku jestem w rozjazdach, wraca się w środku nocy, trzeba oddzielać pracę od przyjemności. Rodzina powinna być najważniejsza.

D: Oczywiście, że fajnie byłoby cofnąć się w czasie. Chętnie przeżyłbym to raz jeszcze...i z pewnością dokonał też innych wyborów.



Mimo sukcesu *Najwyższej Instancji* nie pociągnęliście tematu dalej. Dlaczego?

H: To był przełomowy moment – kasetę demo przerobiliśmy w płytę, zrobiliśmy okładkę, wydaliśmy sami, w nakładzie 50 sztuk. Ludzie kopiowali ją między sobą, słuchali na boiskach – to było super. To był czas, kiedy koncertów było mnóstwo, można było wystąpić na jednej scenie np. z Kalibrem – wystarczyło chcieć jeździć. Ale Deep postanowił, że nie chce już robić muzyki. Grałem więc sam wspólną płytę. To wtedy pojawiła się potrzeba nagrania czegoś swojego. Tak między 2000 a 2003 rokiem z zespołu Pięć Dwa wyewoluowało moje solowe Pięć Dwa Dębiec, częściej zapisywane jako 52 Dębiec. W 2003 roku wyszła płyta *P-ń VI*, którą wielu pamięta do dziś. Zjeździliśmy z tym albumem całkiem spory kawał Polski, trasa nieprzerwanie trwała ponad 4 lata. A w 2023 roku graliśmy trasę na 20-lecie tego albumu.

D: Byłem zakochanym dzieciakiem, nie traktowałem poważnie tej przygody. Dziewczyna była zazdrosna i zakazywała mi jeździć na koncerty. Zakochany po uszy, postanowiłem wtedy, że jest ważniejsza niż muzyka. Hans się obraził, a ja uniosłem honorem. Jak wiadomo, dziewczyna w końcu odeszła, a ja słuchałem singli Hansa z *P-ń VI* w radiu. Patrzyłem, jak rap rośnie i wszyscy, z którymi zaczynałem, zrobili się super popularni. Można sobie wyobrazić, jak się wtedy czułem. Ale kto nie popełnia błędów, zwłaszcza z miłości... Widocznie tak miało być. Być może, gdybyśmy kolejny album robili razem, nie byłby taki popularny. Z pewnością byłby inny. Nic nie dzieje się bez przyczyny. Z perspektywy czasu widzę, że to wtedy rozstrzygnęło się, kto będzie żył z muzyki i traktował ją jako zawód, a kto już nigdy nie będzie mieć takiej szansy. Tak pozostało do dziś.

A jak udało Wam się wrócić do współpracy? Hans, w zeszłym roku w wywiadzie dla FRESHMAGA mówiłeś, że to od Deepa zależy przyszłość Pięć Dwa.

H: Powiedziałem Deepowi, że jeśli chce, działamy, ale musi stać się motorem napędowym tego projektu. Zespół, to zespół. Każdy ma takie same prawa i takie same obowiązki. No więc Deep wykroił trochę czasu, znalazł producenta – Jaca Beats – i nagrał połowę materiału na płytę *ADHD*. Powstał album w klimacie, jak z 2008 roku, można powiedzieć, najbardziej charakterystycznym dla nas. Mamy jeszcze zapas utworów na część drugą tego albumu. No, ale one na razie sobie czekają.

D: A jeśli chodzi o starsze czasy i powrót do płyty *Deep Hans*, to zwyczajnie los tak chciał. Po kilku latach odnowiliśmy kontakt i zaczęliśmy znów nagrywać. Każdy z nas dojrzał. Ja po rozstaniu z dziewczyną nagrałem solo *We mnie* i bez żadnego planu chciałem nagrywać dalej. Hans był wtedy też na zakręcie, a pisanie piosenek i nagrywanie leczy duszę. Efektem tego leczenia jest płyta *Deep Hans*.

Kiedy kolejna część *ADHD*?

H: Plan był, by nagrać ją na trasę. Trzy czwarte mam gotowe, ale Deep chciał odpocząć. To, co powiedziałem w wywiadzie do Freshmaga, jest więc wciąż aktualne: piłeczka jest po

stronie Deepa. Gdybym znów ja pchał wszystko do przodu, wyszłoby jak zawsze, a chodzi o to, żeby było inaczej. Mam nadzieję, że nie trzeba będzie długo czekać. Jesienią ruszamy w trasę. Jeden teledysk już nagraliśmy, może powstanie drugi. Rok kończy się pod znakiem Pięć Dwa, choć w tym roku wyszła też moja solowa płyta *Boomer's Paradise* – ale z nią pojedziemy w trasę dopiero w marcu 2026 roku.

D: Chciałem ambitnie przychylić się do propozycji Hansa, żeby skończyć część drugą i wydać ją, zanim ruszy trasa. Ale znów okazało się, że ja nie potrafię tak pracować. Nie ma w tym złej woli – zwyczajnie, nawet jak się staram, nic z tego nie wychodzi. Hans potrafi nagrywać cały czas, bez przerwy. Ja nie. Muszę odpocząć. Nie mam ani pomysłów, ani nie czuję prawdy, gdy się zmuszam do takiej pracy, w efekcie z niczego nie jestem zadowolony. Widocznie nadal jestem małym dzieckiem, hobbystą, który nigdy tej pasji nie zamienił w zawód. Bez weny nie umiem nic stworzyć. A wena pojawia się i znika, kiedy chce. Oto cała prawda na temat tego, że „znikam” na dłuższe okresy i pojawia się nagle, bez zapowiedzenia. Chciałbym nagrywać co pół roku płytę, jednak nie jest to moim przeznaczeniem. Widocznie jestem zbyt emocjonalny, by nad tym zapanować. Co więcej, sprawy zawodowe i rodzinne utrudniają skupienie, a częste wyjazdy za granicę uniemożliwiają spokojną pracę w studiu. Jednak drugą część *ADHD* zamierzam skończyć jeszcze w tym roku, kilka tekstów mam, jeden numer już skończyliśmy. Będzie dobrze.

Przywykliśmy do tego, że Pięć Dwa komentowało zastaną rzeczywistość – na początku życie codzienne, problemy młodych ludzi, lokalne sprawy, uniwersalne dylematy... Hans, w wywiadach niejednokrotnie podkreślałeś, że rap to nie tylko rozrywka – cytuję – „nie lubisz milczeć, kiedy dzieją się dramaty”. W kawałku *Definitywnie* pojawia się odniesienie do ludobójstwa w Gazie. Czy rolę raperów właśnie jest zabieranie głosu w takich sprawach?

H: Muzyka jest przedłużeniem życia. Jeśli czujesz potrzebę, mówisz. Jeśli nie – też w porządku. Nie ma dogmatu, że rap musi opowiadać o trudnych tematach. Ale jeśli kogoś dotyka to, co dzieje się w Ukrainie czy Palestynie, to naturalne, że

„**To, co dzieje się w Ukrainie czy Palestynie, uderza w moje poczucie logiki i sprawiedliwości. – zbrodniarzy z Norymbergi sądzono, a dziś świat milczy wobec innych zbrodni**”

o tym mówi. Ta sytuacja uderza w moje poczucie logiki i sprawiedliwości – zbrodniarzy z Norymbergi sądzono, a dziś świat milczy wobec innych zbrodni. Mam wewnętrzną potrzebę, by o tym powiedzieć.

D: Dla mnie rap zawsze miał coś do powiedzenia. Przekazywał emocje, próbował wzruszyć, sprowokować, dać do myślenia, ukłuć, może zmusić do refleksji. Czy to tematy osobiste, czy dotyczące problemów na osiedlu, w mieście, w kraju, czy w końcu geopolityczne, rap powinien poruszać rzeczy trudne i być prawdziwy. Skoro mamy tak wiele muzyki rozrywkowej, to jest też przestrzeń na muzykę zaangażowaną.

Jak reagują na to fani?

H: Często jest to wsadzenie kija w mrowisko. Niektórzy uruchamiają jakieś zaprogramowane mechanizmy. Czasami jest to krytyka, z którą można dyskutować, a czasem to tylko okładanie się wzajemnie po głowach. Internet nie jest dobrym miejscem do dyskusji. Moja wypowiedź, nawet ta kontrowersyjna, ma raczej sprowokować do myślenia, niż argumentować za takim czy innym podejściem. To już jest rzecz do wykonania przez odbiorcę czy słuchacza.



D: Nigdy w życiu nie interesowało mnie, co kto powie na temat tego, co nagrywam. Zupełnie nie biorę tego pod uwagę w procesie tworzenia. Robię, co czuję, i na co mam ochotę. Czasem bezrefleksyjnie. Zawsze bezkompromisowo.

Kolejne pytanie od fana. Chodzi o okładkę ADHD. Kojarzy się ze skreczowaniem szyb poznańskich tramwajów. Na początku Waszej drogi graffiti było integralną częścią tożsamości i ogólnie – kultury hip-hopowej. Nawiązywaliście do poznańskich ekip, jak CDN, SBC, RW. Jak jest dziś?

H: Jeśli chodzi o graffiti – byliśmy blisko ludzi, którzy malowali. Z ekipami się po prostu kumplowaliśmy. Nieraz jeździiliśmy na jakieś akcje – ktoś malował, ktoś obstawiał. Podobało mi się tagowanie – to skupienie nad kształtem litery. Szybko przekonałem się jednak, że to nie jest coś, co mnie pasjonuje. Na płycie *P-ń VI* jest o tym numer „Graffiti”. Album 52 Dębiec Wilki z *Rap Street* miał całą rozkładówkę z wrzutami chłopaków

– to była sentymentalna podróż w przeszłość. Natomiast okładka *ADHD* nie ma z tym związku – to bardziej symbol emocjonalności, a motyw amalgamatu w tle, odwołuje się do reliktyw przeszłości. Wydrapany napis z nowej okładki symbolizuje bardziej tę charakterystyczną dla *ADHD* nadwrażliwość i emocjonalność, nadpobudliwość, nerwowość. Jeśli jednak ta okładka przenosi myślami do przeszłości, to dobrze, bo klimat tej płyty jest również bardzo z przeszłości – to się fajnie łączy.

D: Nie wiem jak z kulturą hip-hop jest dziś, bo już tego nie śledzę. To co dziś nazywa się rapem, dla mnie rapem absolutnie nie jest. W tym wieku człowiek ma inne problemy, priorytety, a także znacznie mniej czasu. Nie walczy też z wiatrakami. Czas idą do przodu. Naszą rolą jest robić to, co umiemy najlepiej, czyli rap, na jakim się wychowaliśmy.

A ten kawałek metalu w tle?

H: To plomba amalgamatowa, którą grafik Adam Wasiewicz przerobił w taki fajny symbol, z zachowaniem jej kształtu. „Amalgamat” to utwór, który wymyślił Deep. Pomyślałem sobie, że to jest świetny tytuł dla płyty i świetny motyw graficzny. „Amalgamat” to symbol tego, co uznane za złe i trujące, czego już dziś nie uświadczysz – taki relikw przeszłości. Czyli zupełnie, jak ta płyta i to, co robimy. Okładka jest dla mnie przedłużeniem płyty – nie jest obojętne, jaka ona będzie, jest połączona z treścią.

D: „Amalgamat” to wyciągnięta przeze mnie perła z lamusa. Po dwudziestu pięciu latach my też jesteśmy taką perłą. Z lamusa, ale jednak perłą.

Płyta P-ń VI była ekspresją buntu, niezgody na to, co się dzieje. Co Was dziś napędza do tworzenia?

D: Wena. Siadając do pisania najczęściej nie wiem o czym napiszę. Zwykle piszę pierwszy wers i wtedy sam siebie zaskakuję. Lubię te zaskoczenia. Od zawsze daje się ponieść i płynę z jej nurtem.

H: Miałem ostatnio okazję grać płytę *P-ń VI* na dwudziestolecie. Większość tego albumu graliśmy na żywo w 2023

roku. Po raz kolejny miałem odczucie, że ta płyta jest po prostu punkowa. Wielu recenzentów i dziennikarzy muzycznych było zdania, że hip-hop to jest taki punk rock współczesny. Coś w tym jest. Byłem takim zagniewanym młodocianym, który jednak ma trochę w głowie poukładane, rozumie dużo rzeczy, obserwuje, wyciąga wnioski. Tę płytę się nadal bardzo dobrze gra, a treści, które na niej są, z nielicznymi wyjątkami, nie powodują u mnie zarumienienia czy poczucia żenady. A przecież bywa tak, kiedy masz zagrać coś, co nagrywałeś 20 lat temu. Graliśmy *P-ń VI* na żywo w 2023 roku i poczułem, że ta płyta się nie zestarzała.

Co mnie teraz napędza? Mając lat czterdzieści cztery, dom, kredyt, dwójkę dzieci, żonę. Żyję trochę innym życiem niż dwudziestolatek. Treści więc też się zmieniają w sposób naturalny. Nadal należy opowiadać o tym, co znasz, co wiesz, z czego wyciągasz wnioski, z czego czerpiesz pomysły, co cię dotyka, co cię śmieszy. I to są inne rzeczy niż rzeczy, którymi otacza się dwudziestolatek. Można to streścić tym, co rapował Rychu Peja – „jakie życie, taki rap” – ta idea się nie zmienia, tylko zmienia się życie, po prostu.

Jak układają się Wasze relacje z innymi poznańskimi raperami? Szykują się wspólne projekty?

H: U mnie to jest zawsze kwestia konkretnego utworu – bardziej potrzeba artystyczna, niż z góry założony plan. Na płycie wydanej z okazji dwudziestolecia, czyli albumie *52 Dębiec 0323* było sporo gości – coś, czego wcześniej nie było. I wybór każdego z nich w pewien sposób narzucał się przy tworzeniu utworów, no więc brałem za telefon czy też Instagram i pisałem, i zapraszałem. Tym sposobem pojawiło się tam trochę osób z Poznania, jak Peja, Gandi Ganda, Bobson, Paluch czy Słoń. Na razie nie mam w planie kolejnych wspólnych nagrywek, to wyjdzie w trakcie prac.

D: Ja jestem osobą raczej anonimową, nie mam relacji praktycznie z nikim. Wyjątkiem jest Peja. Nigdy o nie nie zabiegałem, nigdy też nikt nie zabiegał o mnie. Z perspektywy czasu żałuję, że los tak chciał, ale z drugiej strony wszystko można naprawić. Zobaczmy, co czas przyniesie.



Niedawno powstał Wasz nowy sklep: [DROP.52debiec.pl](https://drop.52debiec.pl). Opowiedz o nim.

H: To sklep poświęcony krótkim seriom i limitowanym wydaniom, prapremierom, preorderom. Idea jest taka, że wpada zrzut, który trwa tyle i tyle, do wzięcia jest tylko tyle i tyle winyli, tylko i tyle koszulek, płyt, zestawów... i koniec. Dobrze obejrzyć archiwum i zobaczyć, czego można spodziewać się po dropach, a także zapisać się do newslettera – kilka razy w roku będziemy zapowiadać zrzuty, informować, co i w jakiej ilości się pojawi. To świetna okazja, by upolować sobie w fajnej cenie unikalne kaski związane z Pięć Dwa Dębiec, czy Pięć Dwa. Social media są już tak zapchane wszystkim, że informacja o premierze czy dropie dociera czasem z wielodniowym opóźnieniem, o ile w ogóle dotrze. Sklep i newsletter to świetny pomysł na to, by mieć bezpośredni kontakt i konkretne powiadomienia, bez udziału algorytmów. Zapraszamy do sklepu, subskrypcji i zakupów.

D: Zapraszamy do sklepu, subskrypcji i zakupów!



5 MUST-SEE koncertów jazzowych w Blue Note

Tekst: Julia Lipowicz

Zdjęcie: Sylwia Klaczyńska

Rozpoczyna się już jesień i wchodzimy w październik pełną parą, a tym samym przyglądamy się temu co w Poznaniu będzie można zobaczyć na żywo, a przede wszystkim usłyszeć. Przyglądając się jesiennemu programowi Blue Note stwierdzamy, że zdecydowanie jest w czym wybierać! Nie możemy się już doczekać na jazzowe brzmienia nowego pokolenia oraz muzyków z całego świata, którzy wystąpią na scenie tego kultowego poznańskiego klubu.

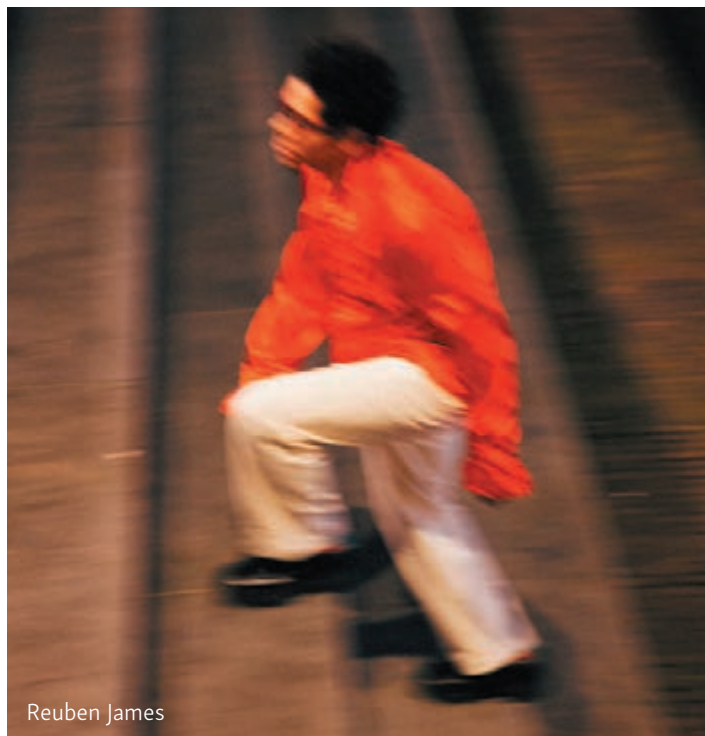
Choć jesienny sezon koncertowy zaczął się już we wrześniu rewelacyjnym występem australijskich muzyków z Brekky Boy, scena Blue Note dopiero się rozkręca. Wspominając o zachwycającym młodym pokoleniu jazzu nie ma żadnej przesady – najbliższe miesiące będą obfitowały w koncerty na których wykonawcami są artyści młodzi, nietuzinkowi i zdecydowanie wychodzący poza ramy klasycznego jazzu!

Już 19 października usłyszymy saksofonistę, który balansuje między tradycją a świeżością w jazzie. **Donny McCaslin**, bo o nim mowa, jest szerzej znany publiczności jako lider zespołu Davida Bowiego podczas pracy nad jego ostatnim albumem. McCaslin od lat konsekwentnie przekracza granice gatunku, czerpiąc z jazzu, rocka, elektroniki i improwizacji. Koncert McCaslina odbędzie się przy okazji finału Blue Note Poznań Competition.

Również listopad nie zapowiada się nic gorzej – 6 listopada na scenie Blue Note zagra **Reuben James** – prawdziwy wirtuoz fortepianu nowego pokolenia jazzu, wokalista i kompozytor. Jego najnowszy, trzeci już album *Big People Music*, łączy w sobie funk, jazz, soul i pop. Anglik od lat podbija serca fanów swoimi melodiami, a na platformach streamingowych osiągnął ponad 50 milionów odtworzeń.



Donny McCaslin



Reuben James

Trzy dni później, 9 listopada usłyszeć będzie można **Salin** – perkusistkę, która jest prawdziwą mieszkanką wybuchową. Artystka, urodzona w Tajlandii, mieszkająca w Kanadzie, a czerpiąca z psychodelii Afryki Zachodniej, w marcu wydała swój drugi długogrający album, *Rammana*. Na poznańskim koncercie zaprezentuje ona melodie z niego oraz powstałe w ciągu kilku ostatnich lat (a także sporą dawkę improwizacji).



Z kolei 18 listopada zagra **Takuya Kuroda** – japoński trębacz, który czerpie inspiracje z rodzinnego Kobe, ale także



z Brooklynu, w którym aktualnie mieszka. Do Poznania powraca dwa lata po wyprzedzonym koncercie w Blue Note, tym razem ze swoim 8. już krążkiem *Everyday*. Kuroda to idealne połączenie japońskiej dyscypliny i amerykańskiej kreatywności, a w Poznaniu zagra w kwintecie.

Last but not least – w tej rozpisce nie może zabraknąć polskiego akcentu! 27 listopada zagra formacja **Bibobit**. Zagrają utwory z najnowszego, trzeci już albumu – *Wdech* – którego premiera ma miejsce 10 października. W nowym materiale skracają w neo-soulową uliczkę, w połączeniu ze współczesnym R&B i konsekwentnie podążają nieprzetartym jeszcze, alternatywnym, muzycznym szlakiem.



Chętnym oraz tym, którym jazzu wciąż będzie mało, warto przypomnieć, że od października powracają comiesięczne **Jazzowe Jam Sessions**. Wydarzenia te odbywają się w każdy pierwszy czwartek miesiąca i dzięki wsparciu finansowemu z budżetu Miasta Poznania są darmowe. Czujcie się zatem zaproszeni na tę ucztę dźwięków!

BRITISH FILM FESTIVAL

12-16.11.2025

B ■ ■
±25

UTC±00:00 BFF

ZJEDNOCZONE KRÓLESTWO KINA
UNITED KINGDOM OF CINEMA

12:00

BRITISHFILMFESTIVAL.PL

ORGANIZATORZY:

WSPÓLFINANSOWANIE:

PARTNERZY:



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury





Z Miłości do Maitri i jedzenia bez wykluczeń

Rozmawiała: Julia Lipowicz

Zdjęcia: Julita Karolak

Na Garbarach od jakiegoś czasu działa lokal dla wszystkich foodiesów, którzy szczególnie dbają o swoją dietę i na co dzień zmagają się z wykluczeniami składników. Maitri to miejscówka przy ul. Garbary 54, w której można dobrze zjeść bezglutenowo, wegańsko i lokalnie. O historii restauracji, filozofii i specjach tego miejsca porozmawiałam z właścicielką lokalu, Julitą Karolak.

Skąd wziął się pomysł na Maitri?

Z miłości... dosłownie! Zanim otworzyłam Maitri w tym miejscu działała wegańska knajpka Miłość. Po zamknięciu lokalu właścicielka Miłości przekazała mi swoje doświadczenie w kuchni, a ja przejęłam stery. Po części dalej to jest Miłość, bo słowo *maitri* w sanskrycie tybetańskim oznacza właśnie miłość – do wszystkich istnień, tych większych, mniejszych, także do samego siebie! Chociażby poprzez dobre, zdrowe jedzenie.

Kuchnia Maitri bazuje na daniach bezglutenowych. Jak ważny jest to dla Ciebie element gotowania i diety?

Aktualnie jesteśmy jedyną restauracją w Poznaniu z certyfikatem *Menu Bez Glutenu*, która serwuje 100% bezglutenowe obiady, dopasowane dla osób z celiakią i wykluczeniami diety. Kilka lat temu zrobiłam sobie badania krwi i wtedy zrozumiałam jak wielki jest to problem oraz ile osób tak naprawdę to dotyczy. Chciałam by moje miejsce było też

wegańskie, a najczęściej zamienniki mięs zawierają gluten, tak jak na przykład seitan. Dania z zamiennikami mięs są więc u nas oparte na produktach sojowych (np. tofu czy tempeh), ale bazujemy też po prostu na świeżych i lokalnych warzywach.

Kim jest typowy gość Maitri?

Każdy kto kocha dobre, zdrowe jedzenie i świat! Specjalizujemy się w kuchni przyjaznej alergikom. W naszej kuchni zwracamy szczególną uwagę na składniki i przygotowanie potraw, by każdy mógł cieszyć się jedzeniem bez obaw. Nasi goście są przede wszystkim bezglutenowi, to zarówno Poznaniacy, jak i turyści (ze względu na bliskość Starego Rynku). Słyszymy bardzo dużo pozytywnych opinii, gdy dowiadują się, że bezglutenowe nie są jedno czy dwa dania, ale całe menu, od A do Z! To znaczy, że możesz zjeść bezpiecznie, świadomie i smacznie – bez ryzyka, bez kompromisów.



Drugim ważnym aspektem dla Ciebie są dania i dla alergików. Czy można w takim razie przyjść do Ciebie z prośbą o usunięcie lub zamianę kilku składników?

Jasne, to zdarza się dość często! Mam sporo gości z bardzo restrykcyjnymi dietami, którzy są w szoku, że jestem w stanie coś dla nich ugotować. Czasem trzeba bazować np. tylko na pięciu składnikach, ale to właśnie wtedy zaczyna działać

kreatywność. Przy uprzednim poinformowaniu, np. przy składaniu rezerwacji stolika, jesteśmy w stanie przygotować nie tylko bezglutenowe i wegańskie dania, a także pozbawione konkretnych alergenów. Jestem otwarta na wszelkie modyfikacje! Kierujemy się przede wszystkim empatią i zależy nam, by goście nie tylko czuli się zaopiekowani, ale by mieli możliwość zjeść smacznie i po swojemu, bez względu na alergię.





Jakie dania są zatem największymi hitami w Twojej kuchni?

Zdecydowanie zamienniki mięsa. Aktualnie największą popularnością cieszy się wegańska kaczka z tempehu. Serwujemy ją z pieczonymi ziemniakami, sosem grzybowym, zasmażaną kapustą. Wiele osób przychodzi do nas specjalnie na nasze autorskie, bezglutenowe bliny gryczane z wegańskim sosem serowym, wędzonym tempehem i warzywami – takie danie można dostać tylko i wyłącznie u nas. Uwielbiamy też szpinak masala pełen hinduskich przypraw, a dla fanów polskich smaków mamy pyrę z wegańskim gzikiem.

Nie mogę też nie wspomnieć o naszym ostatnim hicie wśród napojów – domowej kombuchy, w którą naprawdę wkładam całe serce. Kombucha to herbata fermentowana japońskim grzybem scoby. To bardzo zdrowy produkt, którego główną

bazą jest zielona herbata. W naszej wersji smakuje jak prawdziwy domowy, babciny kompot, ale podrasowany, bo jest musujący i z charakterem. Poza tym grzyb scoby jak każda istota żywa potrzebuje dobrych warunków, by się rozwijać – wygląda na to, że w Maitri jest serio otoczony miłością!

To brzmi super! Czy organizujecie też imprezy okolicznościowe?

Tak, zdarza się, że zgłaszają się do nas osoby, które chcą zorganizować w pełni bezglutenowe przyjęcie, wesele, urodziny, a nawet... urodziny psa!;) Do każdej z tych okazji tworzymy indywidualne menu, dopasowane do gustu i potrzeb gości.

Jeśli masz nietolerancję pokarmową lub unikasz pewnych produktów – daj nam znać, a dobierzemy danie specjalnie dla Ciebie. Zapraszam!

www.maitri-restauracja.pl

IG@maitri_vegan

ul. Garbary 54, Poznań





„Nigdy nie odczuliśmy rewolucji, tylko naturalny rozwój”

Ponadczasowe Nimm2

Rozmawiali: Rafał Szaroleta i Dawid Balcerek

Zdjęcia: Sylwia Klaczyńska

Z chłopakami rozmawialiśmy już na początku ich drogi, gdy grali pierwsze imprezy w Nurcie. Wtedy zwrócili uwagę poznańskiej publiki swoimi melodyjnymi setami oraz żywymi instrumentami. Było to coś świeżego na naszej scenie. Dzisiaj Michał i Kuba zapraszani są na duże festiwale i jeżdżą po całym kraju grając w polskich klubach. Jesienią stuknie im 5 lat działalności. Z duetu DJ-skiego stali się w międzyczasie również duetem producenckim. Jak nam sami powiedzieli, nigdy nic nie planowali i nie sądzili, że to się tak kiedyś wszystko rozwinie. I wiecie co? Nadal nic dalej nie planują i to chyba ich przepis na sukces.

Od naszego ostatniego wywiadu zaszły u Was spore zmiany. Z duetu, wtedy jeszcze DJ-skiego, staliście się również duetem producenckim. Czy to była dla Was naturalna kolej rzeczy?

Nadal, przede wszystkim, jesteśmy duetem DJ-skim, oczywiście próbując rozwijać się w różnych kierunkach. Faktycznie w różnych współpracach wydaliśmy też kilka numerów. Jest to dla nas tak naprawdę dodatkowa, przyjemna przygoda i nie mamy z tym związanych jakichś dużych celów. Natomiast jest to radocha, gdy taki numer można zagrać podczas imprezy. Na pewno Kuba jest tutaj dużo bardziej utalentowany muzycznie i produkcyjnie. Grał i gra w zespołach oraz sporo numerów już w życiu wydał. Współpracowaliśmy przede wszystkim z Michałem Kmiecakiem, z którym wydaliśmy już trochę tracków, a trochę jeszcze ich wydamy wydawać. Z tego urodziły się świetne rzeczy, mieliśmy fantastyczny koncert podczas Next Festu, który przeszedł nasze wyobrażenia. Tam również główną rolę grały animacje stworzone przez studentów Uniwersytetu Artystycznego pod przywództwem Karoliny Jacewicz. Oczywiście produkcja muzyczna nadal trwa – dosłownie dzisiaj widzieliśmy się w studiu – ale przede wszystkim pozostajemy duetem DJ-skim i tak pewnie pozostanie.

Nawiązaliście współpracę z Michałem Kmiecakiem, z którym m.in. stworzyliście dwa remixy do oficjalnej ścieżki dźwiękowej filmu „Chłopi” autorstwa LUCa. Jak doszło do wydania tych utworów i jak przebiegała praca nad tymi projektami?

Nawiązaliśmy współpracę z Michałem Kmiecakiem ponad rok temu. Spotkaliśmy się, żeby zrobić wspólnie jeden numer i pobawić się tym. Z tego jednego numeru wyszło ich ponad dziesięć, w tym trzy remiksy. Michał jest bardzo utalentowanym muzykiem i producentem i co ważne, fantastycznym człowiekiem. Było super spędzać z nim ten czas. Mamy nadzieję, że projekt jeszcze da o sobie znać i może nawet wyląduje na innym kontynencie. Jeśli chodzi o ścieżkę dźwiękową do filmu „Chłopi” i remiksy, sprawa wyglądała ciekawie – zagraliśmy jeden numer z filmu na Las Festival. W jednej z relacji oznaczyliśmy LUCa, który po jakimś czasie zapytał, czy nie chcemy zrobić re-



miksu jednego z numerów. Zrobiliśmy remiks „Jesień-Tańcu” z Köbiakiem, a potem dosłaliśmy drugi stworzony z Michałem Kmiecikiem. „Bitwa” bardzo się spodobała i oba tracki pojawiły się w wydawnictwie.

Na serwisach streamingowych można posłuchać również innych Waszych produkcji z Michałem, m.in. najnowszy track „Odłot Żurawi”. Na Waszych portalach społecznościowych można też sprawdzić video live’a do „Children of Sunrise”. Szykujecie jakiś wspólny album? Jeśli tak, to czy macie już jakiś label na oku?

Jak wspominaliśmy, ta produkcja była super przygodą i muzyczną podróżą. Na pewno współpraca zakończy się wydawnictwem. Prawdopodobnie będzie to własnym sumptem, ale jeśli jakiś label będzie chciał nas wydać, to dlaczego nie? Póki co żadnych rozmów z wytwórną nie prowadziliśmy.

Jednym z ciekawszych tegorocznych wydarzeń był, już wspomniany chwilę temu set audiowizualny podczas Next Festu. Na czym polega Wasza współpraca z Karoliną Jacewicz?

Spotkaliśmy się kiedyś w Parku Sołackim z Karoliną i rozmawialiśmy, co można razem zrobić. Z jednego takiego spotkania powstał projekt sporego występu podczas Next Festu, gdzie mapping odegrał kluczową rolę. Z Karoliną, tak jak i z Michałem, bardzo się lubimy, to zawsze sprawia, że chce się razem robić rzeczy. Wyszła też z super inicjatywą przy finisażu wystawy Chełmońskiego w Muzeum Narodowym w Poznaniu, która cieszyła się rekordową popularnością. Karolina zainimowała Chełmońskiego, co było sporym przeżyciem i bardzo ciekawym doświadczeniem. Na pewno jeszcze nie raz będziemy z nią współpracować – np. robiła wizualki podczas jednego z naszych występów, dokładnie w Las Palace.

Jak się tworzy utwór inspirowany malarstwem oraz skąd pomyśl, żeby zagrać właśnie Muzeum Narodowym podczas wystawy poświęconej sztuce Chełmońskiego? Wspomniany wyżej track „Odłot Żurawi” miał premierę na tym wydarzeniu.

Szanujemy wnikliwe obserwowanie naszej przygody! Faktycznie dokładnie tak było! Jeżeli mielibyśmy być zupełnie szczerzy, to sporo z tego utworu było już przygotowane wcześniej. Ten

numer czekał jeszcze na swoją kolej, bo nie wiedzieliśmy jeszcze do końca, do czego go użyjemy. Jak powstał pomysł zagrania w Muzeum Narodowym, to chcieliśmy zrobić specjalny track na to wydarzenie, ale zauważyliśmy, że niedawno taki numer, który idealnie by pasował, stworzyliśmy. Obraz *Odłot Żurawi* idealnie nam pasował do tego numeru, więc trochę jeszcze pod to wydarzenie go podrasowaliśmy i faktycznie fajnie to wyszło.

Muzyka, która tworzycie, jest pełna melodii, lecz troszkę się różni od setów, które można było usłyszeć m.in. na Wisłoujściu b2b z Kemotem. Z czego to wynika?

Każde b2b jest zawsze wypadkową jakiegoś kompromisu, chyba że naprawdę spotkałoby się dwóch DJ-ów (w tym przypadku trzech), którzy grają identycznie. Natomiast ten, który zagraliśmy na Wisłoujściu z Kemotem, jest bardzo bliski temu, jaką muzykę najbardziej lubimy grać. My też nie zamykamy się. Oczywiście mamy sprecyzowane gusta muzyczne i wiemy, co lubimy zagrać, natomiast nie zamykamy się absolutnie na jeden kierunek. Nasze główne nurty muzyczne to indie dance, minimal, tech house, deep house. Lubimy faktycznie, jak to mamy w bio ujęte, skłonność do melodii. Faktem jest, że to, co stworzyliśmy z Michałem Kmiecakiem przede wszystkim, trochę od tego odbiega i jest odrobinę inne. Nie musimy być zamknięci w jednej klatce. Natomiast jest jeden track, który graliśmy bardzo często. Jest to „Jesień – Tańczuj”. Szczerze, nie było w tym roku dla nas numeru, który by tak wywał z kapci.

Nie ma co ukrywać, że ostatni rok był dla Was przełomowy. Dużo festiwali oraz grania w polskich klubach. Kiedyś wspominałeś Michała, że szykują się powoli zagraniczne bookingi. Możesz coś więcej powiedzieć o planach na przyszłość?

Rok 2025 jest faktycznie dość zabawny – w jakimś stopniu słyszymy o tym, że wystrzeliliśmy czy coś takiego, ale bardzo tego nie odczuwamy. Cały czas mamy wrażenie, że od pięciu lat nasza przygoda idzie w górę drogą ewolucji. Nigdy nie odczuliśmy rewolucji, tylko naturalny rozwój. Ten rok, podobnie jak poprzednie, jest naprawdę przyjemny. Granie na Wisłoujściu z Kemotem było dla nas wyjątkowe – na scenie idealnie dopa-

” **Nimm2 jest
ponadczasowe i nie
mam poczucia,
żebym kłamał** ”

sowanej, w najlepszej godzinie i w najlepszym dniu – to było absolutne zwieńczenie lata. Jeśli chodzi o zagraniczne bookingi, są one częściowo związane z naszymi podróżami – Kuba leci do Japonii, Michał do Ameryki Centralnej i Południowej, zimą ponownie sporo pogra we Włoszech. Cieszą grania na innych kontynentach – kolejna fajna rzecz. Natomiast nie jest to – jeszcze – zorganizowane tournee po świecie. (śmiejch)

Ostatnio pojawiło się kilka relacji z Waszego grania na Balkonie na ul. Św Marcin. Czy szykujecie jeszcze jakieś niespodzianki w najbliższym czasie? Możecie coś zdradzić?

M: Przede wszystkim uwielbiamy pomysł ekipy BLKN – to jedna z najciekawszych tego typu inicjatyw w Poznaniu w ostatnim czasie. Mega klimat, ogromna zajawka, świetnie się na to patrzy. Bardzo nam było miło, że zostaliśmy zaproszeni. Jeśli chodzi o niespodzianki w najbliższym czasie, dla nas ogromnym wydarzeniem będzie możliwość zagrania po Kiasmosie 11.10 we Wrocławiu (znowu z Kemotem!). Obaj bardzo lubimy ich muzykę. Mogę dopowiedzieć (Michał), że to chyba mój najczęściej słuchany album z muzyki elektronicznej w życiu. Na pewno pojawią się też nowe wydawnictwa. Dokładnie w tym momencie siedzimy nad kolejnym remiksem.

Które granie lub wydarzenie z sezonu letniego zapadło Wam najbardziej w pamięci i dlaczego?

M: O Wisłoujściu już była mowa – to jest absolutnie numer jeden. Tych fajnych grań było mnóstwo. Może wymienię jeszcze super set na Obrze Festival z Jusyną Sobieralską. Mimo słabszej



pogody podczas naszego seta, znakomicie grało mi się podczas Welur Festiwal z „Away With The Fairies”, czyli Kubą Przewoźnym i Piotrkiem Sikorą. Kiedy gramy jako Nimm2, zawsze jest ekstra. Nie chcę tu wymieniać wszystkich wydarzeń, ale mógłbym faktycznie w tym roku wymienić tego sporo.

K: Na pewno koncert na Nexcie i Wisło.

Na nexcie najbardziej zapada w pamięć start. Do momentu wejścia na scenę jest to tak na prawdę niespodzianka, co się wydarzy. Ludzie przychodzą na ostatnią chwilę. Wychodzisz na scenę i okazuje się że pod nią jest nagle grubo ponad 1000 osób.

Jesienią stuknie Wam 5 lat działalności. Czy jak zaczynaliście, to mieliście marzenie, żeby znaleźć się właśnie w tym miejscu, którym teraz jesteście, czy to dopiero początek drogi? Jakie mieliście wtedy ambicje i jakie macie teraz?

Może to zabrzmie głupio, ale my chyba nie planowaliśmy niczego i nadal trochę tak jest. Chcemy każde granie zagrać jak najlepiej i w naszym przypadku przynosi to kolejne zaproszenia i docenienia. Sprawia to radochę i dopóki będzie tak nadal, to będziemy działać. Oby jak najdłużej. Ostatnio powiedziałem, w kontekście wielokrotnego grania z innymi osobami, że Nimm2 jest ponadczasowe i nie mam poczucia, żebym kłamał.

Jeśli urodziny, to i świętowanie. Co przygotowaliście na tę okazję?

Może krótko – 10.11 świętujemy w Rewirach. Obiecujemy, że będzie słodko.

Michał, jeszcze pytanie do Ciebie. Od jakiegoś czasu działasz również jako radiowiec w Aferze. W ogóle skąd pomysł, żeby usiąść przed mikrofonem? Jak się czujesz w tej roli?

M: Tutaj znowu trochę przypadków. Kemot szukał kogoś, z kim mógłby zrobić audycję albo podcast. Powiedział o tym Łukaszowi Kowalce, a Łukasz wiedział ode mnie, że też coś takiego mam w planach. Mimo że od dawna jesteśmy dobrymi znajomymi z Kemotem, to tutaj potrzebowaliśmy takiego łącznika. Sami odezwaliliśmy się do Edgara Heina, ówczesnego redaktora naczelnego. Ten podchwycił pomysł i wziął nas na trzy miesiące wakacyjnej ramówki. Z tych trzech miesięcy zrobiło się już dwa i pół roku. Co tydzień prowadzimy program o muzyce elektronicznej, zapraszamy osoby z tego świata, ale czasami też wychodzimy poza to – np. naszymi gośćmi ostatnio byli MyTuJemy. Jak się czuje w tej roli? Uwielbiam to.

Ostatnio Twoim gościem był Twój ojciec. Ciężko przeprowadzić rozmowę z własnym tatą, gdy słucha Was tylu ludzi po drugiej stronie szyby i głośnika?

M: Nie, ja naprawdę jarałem się tą rozmową. Ciężko? W ogóle nie. Mojemu tacie wystarczy zadać jedno pytanie, a on może mówić bez końca. Jeśli chodzi o trud, to go nie było. To było fajne doświadczenie – w domu, kiedy się spotykamy, szczególnie podczas świąt, króluje szydera. Choć oczywiście też zdarza się rozmawiać poważnie (ale i tam muszą być wplecione żarty z kogoś). Tutaj oczywiście były docinki, ale jednak przede wszystkim gościliśmy go ze względu na jego pracę, a nie dlatego, że jest moim ojcem. Zawodowo jest dyrektorem Muzeum Narodowego, więc audycja miała też wartość dodaną – mogliśmy posłuchać o ewentualnych połączeniach Muzeum Narodowego i muzyki elektronicznej. Rozmowa jest dostępna na SoundCloudzie – audycja „Kemot B2B Łęcki”, którą prowadzimy co wtorek o 20:00 w Radio Afera. Czasami gadamy dużo głupot, czasami wplatamy coś poważnego – mam nadzieję, że nie jest nudno.

Trudna codzienność. 25.10.25 — 29.03.26

Challenging days.
Life in post-war Poznań

Życie w powojennym
Poznaniu

Wernisaż: 24.10.25, g. 18



GALERIA
ŚLUZA

XOX



WYSTAWA
EXHIBITION



POZNAŃSKIE
CENTRUM
DZIEDZICTWA

www.galeriasluza.pl

POZnań*

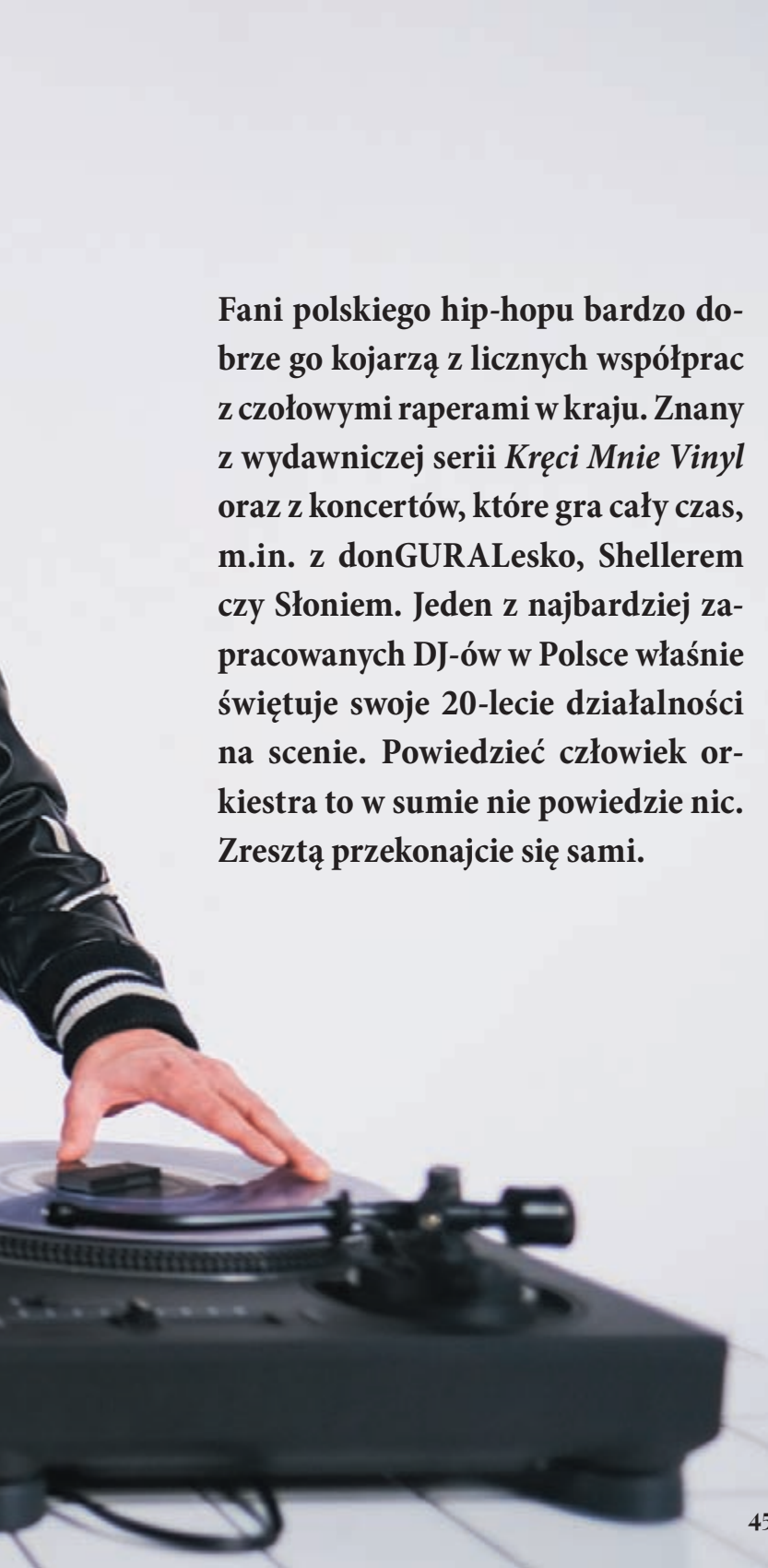
Ten winyl kręci się już 20 lat

DJ Soina

Rozmawiał: **Dawid Balcerek**

Zdjęcia: **Szymon Derwich**





Fani polskiego hip-hopu bardzo dobrze go kojarzą z licznych współprac z czołowymi raperami w kraju. Znany z wydawniczej serii *Kręci Mnie Vinyl* oraz z koncertów, które gra cały czas, m.in. z donGURALesko, Shellerem czy Słoniem. Jeden z najbardziej zapracowanych DJ-ów w Polsce właśnie świętuje swoje 20-lecie działalności na scenie. Powiedzieć człowiek orkiestra to w sumie nie powiedzie nic. Zresztą przekonajcie się sami.

W tym roku obchodzisz swoje 20-lecie za deckami. Jednak zespół Cromm Cruac, do którego należysz, jest dłużej na scenie. Dołączyłeś do nich, czy może na początku pełniłeś inną rolę w ekipie?

W tym roku obchodzę 20-lecie bycia DJ-em i liczę ten czas od powstania pierwszego mixtape'u, który odbił się rozgłosem w całej Polsce — mam na myśli „Western 1”, stworzony razem z RY23. W ekipie Cromm Cruac rapowałem na pierwszej swojej płycie „Życia Blaski i Cienie”. Był to rok 2001.

To jak rozpoczęła się Twoja przygoda z płytami? Pamiętasz ten moment, że stwierdziłeś, że chcesz zostać DJ-em?

Na początku słuchałem dużo rapu w serii filmów skateowych „Info”, stąd zajawka na rap. Sam lubiłem skateboarding, a jeszcze bardziej z dobrym rapem na słuchawkach. Później obserwowałem DJ-ów na imprezach i od początku wiedziałem, że chce to robić, tylko nie miałem sprzętu. Pewnego dnia byłem na domówce u znajomych i przyjechał mój ziomal i powiedział, że załatwił dwa gramofony Technics, mixer i płyty winylowe z berlińskim techno. Zapytał mnie wtedy czy spróbuję pograć, bo wiedział że się tym interesuje. I tak to się zaczęło.

Kto miał na Ciebie największy wpływ z działających wówczas DJ-ów i dlaczego? Za co ich cenileś lub cenisz nadal?

Obserwowałem tylko DJ-ów na imprezach, na których bywałem. Później poznałem mojego przyjaciela DJ Kostka, którego wozilem na imprezy jako kierowca. Wiedział, że stawiam swoje pierwsze kroki za gramofonami, więc dawał mi pograć, gdy ludzie schodzili się do klubu. Później już udzielał mi lekcji w postaci scratch sesji, które robiliśmy w jego mieszkaniu. To właśnie on nauczył mnie podstaw DJ-ingu, za co jestem mu bardzo wdzięczny. Pazdro Kostek!

W tamtych czasach bycie DJ-em wiązało się z dużymi kosztami. To był drogi interes, a sprzęt oraz płyty kosztowały krocie. Pamiętasz pierwszy sprzęt? Skąd załatwiałeś sobie płyty?

Na pierwszy sprzęt tj. gramofon Unitry i mixer Omnitronica zarobiłem na praktykach w szkole zawodowej. Płyt miałem



fot. DJ Soina w 2000 roku, archiwum własne.

niewiele, raczej muzykę puszczałem z kompa i do tego scratchowałem z winyli, które miałem. Później jeździłem po winyle do niemieckiego sklepu hhv.de oraz kupowałem je w już nieistniejącym Vinyl shopie w Poznaniu na ul. Św. Marcin.

Jak wspominasz swoją pierwszą prawdziwą imprezę?

Pierwszą imprezę grałem w domu kultury w Czerwonaku. Miałem 10 składanek na winylach i kilkanaście płyt CD. Po prostu puszczałem muzykę, a RY23 do tego rapował. Impreza przerosła nasze oczekiwania, więc stres zniknął. Pojawił się tam również nasz znajomy, który tańczył break dance i rozbujał wszystkich w moment. Śmieszne było to, że razem z RY23 przyjechaliśmy na tą bibę skuterem z całym sprzętem. Pamiętam, że kierowałem i nogami przytrzymywałem gramofon oraz płyty, które leżały między nogami. Totalny absurd, ale tak to wtedy wyglądało.

Pamiętasz ten dzień kiedy pierwszy raz usłyszałeś o serato i możliwościach tego sprzętu? Mocno zmieniło to Twoje podejście do fachu?

Serato poznałem przez DVJ-a Rinka, z którym miałem kolektem DJ-ski Triple Impact. Dał mi zagrać z tego sprzętu i totalnie zwariowałem jak zobaczyłem całą muzykę, którą uwielbiam w jednym katalogu oraz możliwości katalogowania tej muzyki, jak i i możliwości oprogramowania Serato. Jest to totalny game changer na rynku DJ-skim. Do dziś korzystam z tego softu.

Obok DJ Decksa jesteś drugim DJ-em, który w Poznaniu zaczął wydawać mixtapy producenckie. Co Ciebie skłoniło do pójścia w produkcję?

Zawsze nagrywałem swoje mixy na komputer lub na mini disc podczas grania setów w domu. Później puszczałem je na domówkach i patrzyłem jak bawią się przy tym znajomi. W końcu zrobiłem podejście do pierwszego mixtapu swojego z raperami, z którymi już koncertowałem. W tamtych czasach to był donGURALesko, Shellerni & Słoń z WSRH, ekipa PTP z Torunia, białostocki zespół Fabuła, z którym się przecinałem na szlaku koncertowym. Był też oczywiście PIH, u którego udzielam się na jego albumach, Ero z JWP i wielu innych dobrych ziomali, których poznałem podczas tras koncertowych. Jak ukończyliśmy nagrywanie z moim realizatorem Bass Gru i zaprezentowałem mixtape *Kręci Mnie Vinyl 1* donGURALesko i Michałowi Kwiatkowi z Szpadyzor Records, to dostałem propozycje wydania legalnej płyty w 2011 roku i tak ten krążek trafił na półki sklepowe.

Na koncie masz 4 części *Kręci Mnie Vinyl*. Już jakiś czas temu zapowiadałeś kolejną część? Jak wygląda obecnie etap produkcji i kiedy możemy się spodziewać krążka?

Z okazji 20-lecia ukaże się kolejna część. Będzie to materiał wydany w postaci EPki. jeszcze w tym roku — premierę planuję na grudzień 2025. Gościnnie pojawi się m.in. Grubson, Tede, donGURALesko, Shellerini, Zibex, Flora Bugs i reprezentanci ekipy *Kręci Mnie Vinyl* oraz kilku ziomali z podziemia.



Widziałem Twój grafik z tego roku. Tych imprez miałeś mnóstwo. Do tego dochodzi praca nad płytą, a prowadzisz przecież jeszcze agencję artystyczną i obsługujecie innych muzyków. Jest opcja, że możesz być najbardziej zapracowanym DJ-em w kraju?

Mogę być nawet jedną z bardziej zapracowanych osób z branży. (śmiech) Cały czas gram koncerty, czy to swoje solowe czy np. ze Słoniem, Shellerem i donGURALesko. Jednocześnie prowadzę też studio nagraniowe oraz sklep Kręci Mnie Vinyl z ubraniami i gadżetami dla DJ-ów. Do tego prowadzę agencje

eventową i na stałe pracuje jako manager Centrum Rozrywki MK Bowling Poznań i rooftopu Na Tarsie. Ogólnie w pracy jestem cały czas. Myślę, że jestem pracoholikiem.

Robiłeś już mixtapy z Gurałem czy chłopakami z CC, ale niedawno doszło do skrzyżowania z ekipą Pięć Dwa, co mnie zaskoczyło. Jak doszło do tej współpracy? Teraz robisz też bodajże kolejny mixtape dla nich?

Tak, z 52 Dębiec grałem kiedyś trasę koncertową, stąd się znamy. W momencie gdy otworzyłem agencję koncertową ode-

zwał się Hans z 52 Dębica i zapytał czy jestem zainteresowany zostania jego managerem do spraw koncertów. Aktualnie organizuje trzecią trasę koncertową Hansa z Deepem z okazji 25-lecia Pięć Dwa. Do każdej trasy nagrywam dla nich mixtape, który jest dostępny jako bilet VIP na koncerty.

Przed nami Twoja impreza jubileuszowa w Poznaniu. Czego możemy się spodziewać i czy z tej okazji wyjdzie jakieś specjalne wydawnictwo?

Do imprezy pojawi się utwór promujący kolejną część *Kręci Mnie Vinyl* z gościnnym udziałem Tede. Sama impreza to audiowizualny show z gośćmi z PDG Kartel oraz Brain Dead Familii. Zagrają: Słoń, donGURALesko, Sheller, Kaczor, RY23, Rafi, Qlop oraz Profesor Smok. Całe wydarzenie będzie wzbogacone o efekty pirotechniczne. After poprowadzą DJ-e z ekipy Kręci Mnie Vinyl — Dźwięki i Gruby Bounce. Mój show potrwa około dwie godziny i będzie to set, nad którym pracuje od roku. Taka impreza raz na 20 lat!

Na koniec kilka krótkich pytań. Z kim najlepiej Ci się gra na scenie i dlaczego?

Jest 5 osób, z którymi gra mi się najlepiej, każdy ma inną cechę, która powoduje chemię na scenie. DonGURALesko to niesamowita technika i wydolność oraz nieprzewidywalność na scenie, która mimo freestyłu przeradza się w dobre show. Słoń to energia, perfekcja i dbałość o szczegóły, dzięki czemu każdy koncert jest perfekcyjny w każdym calu. Sheller — mega go lubię i jego rap. Grając z nim czuję, że pchamy do przodu wartościową muzykę, a nie tanie treści. Wszystkie te osoby podały mi rękę bezinteresownie, za co jestem mega wdzięczny. Rzadziej już koncertuje z RR Brygadą, czyli RY23 i Rafim, ponieważ mają inne zajęcia zawodowe, ale koncerty z nimi też były dla mnie super przygodą.

Wymień trzy ulubione płyty w kolekcji, które sobie najbardziej cenisz i dlaczego?

Składanka *Self control*, ponieważ był to mój pierwszy około rapowy winyl, który mam do dziś. Na drugim miejscu stawiam album *Delinquent Habits*. Bardzo jaram się ich flow, bitami



i scratchami na tym albumie. Na trzecim miejscu postawiłbym winyl DJ Rectangle *Ultimate Ultimate Battle Weapon Vol. 2*. To krążek, który wprowadził mnie w turntablism.

Najlepszy DJ na świecie to?

Moim zdaniem DJ Snake. Kreuje trendy, przekracza muzyczne granice, ogólnie to boss pod każdym względem. Totalne jaranko.

AUTUMN '25	04 10	NEW AGE	PEGASSI	ANTONYM
	10 10	KIASMOS		
	11 10	WIXAPOL		
	17 10	FJAAK		
	18 10	KASIA		
	24 10	25 YEARS OF MOON HARBOUR	MATTHIAS TANZMANN	
UPCOMING EVENTS	31 10	T B A		
	07 11	OBSESSION	BIIA	SNTS IGDA
	08 11	RYSY LIVE		
	10 11	PARACEK		
	15 11	BEN KLOCK		
	21 11	FATIMA HAJJI		
	22 11	VICTORIA		
	29 11	NEW AGE	MISCHLUFT	
	05 12	T B A		
	06 12	DJ HEARTSTRING	LINDS	
	12 12	T B A		
	13 12	VINI VICI		
TAMA	19 12	OBSESSION	SAVE THE DATE	
	31 12	NYE		



Wszystkie strony księżycy

**Witold Andree, kolekcjoner płyt,
o najlepszym albumie w historii muzyki**

Rozmawiał: Kacper Jakubiec

Zdjęcie: Kacper Jakubiec

Na półkach sklepu Art Rock znajduje się każda odmiana rocka, sporo jazzu, klasyki popu, a także odrobina hip-hopu. A w prywatnych zbiorach właściciela – Witolda Andree – ok. 700 różnych winyli zdobytych na przestrzeni lat. Wśród nich przeważa jeden szczególny tytuł, jeden szczególny zespół. Jest to prawdopodobnie największa taka kolekcja w kraju, na którą składają się rzadkie wydania z całego świata, oryginalne reedycje i kolorowe krążki. Mowa tutaj o legendarnym albumie zespołu Pink Floyd *The Dark Side of the Moon*. Kiedy rozmawiamy, na sklepowym adapterze gra album Pink Floyd *Division Bell* – pierwsze amerykańskie wydanie z 1994 r. na niebieskim, przezroczystym winylu.

Znalazłem informację, że w 2023 r. Pana kolekcja *The Dark Side of the Moon*, kultowego, ósmego studyjnego albumu zespołu Pink Floyd, liczyła 120 pozycji. Jak prezentuje się teraz?

Między 130 a 140 różnych egzemplarzy. Oczywiście nie są to wszystkie, które wyszły na świecie. Licząc wszystkie tłoczenia, to będzie ich ponad 500. Natomiast część z nich w ogóle się nie różni, tylko matrixem, czyli wytłoczonym numerem na dobiegówce. Mnie interesują różnice, które są widoczne gołym okiem. Po pierwsze – kraj produkcji, po drugie – wydanie, po trzecie – wyraźne różnice albo znaki, które umieszczano na okładce lub płycie. To mogą być egzemplarze np. z tych samych państw, ale z różnych lat.

Czy została jeszcze jakaś edycja, którą chciałby Pan mieć?

Nie ma takich, które bardzo chcę zdobyć. Takim egzemplarzem było tłoczenie japońskie z 1974 r. Jest to wydanie prawie kompletne, z tzw. obi – dodatkową banderolą, która była na japońskich płytach. Ona mówiła o tytule, cenie (tu jest 2500 jenów), i numerze katalogowym. W tamtych czasach była przez ludzi przeważnie wyrzucana. Płyty kompletne z banderolą trafiają się rzadziej i są co najmniej dwa razy droższe. Ten egzemplarz z obi, oryginalny, kwadro – bo wersje stereo mam trzy inne, z trzema różnymi banderolami, wszystkie z lat 70. – udało mi się kupić w tym roku. Ostatnio sprawdzałem i ktoś wystawił tę płytę za 2500 dolarów, ale myślę, że trudno sprzedać ją w takiej cenie. Natomiast jest warta od 500 dolarów w górę. Jednak jeśli chodzi o ceny, to nie ma reguły.

Słucha Pan wszystkich płyt z kolekcji? Czy są raczej tylko do postawienia na półkę?

Odsłuchuję wszystkie, żeby wiedzieć, jak to brzmi – do niektórych nie wracam. Czasem z kolegami porównujemy jakość dźwięku, która różni się na poszczególnych wydaniach. Powiem tak... Nie mam wszystkich, natomiast mam w tej chwili płyty z każdego kraju, gdzie została wydana: Malezja, Singapur, Australia, Nowa Zelandia, Tajwan, Korea Południowa... Co ciekawe, koreańska w pewnym momencie była cenzurowana, dwa nagrania wyrzucono, *Any Colour You Like* i *Brain Damage*, może kojarzyły się z narkotykami. Mam płyty z całej Europy, choć nie

wszędzie została wydana. Np. w Skandynawii było jedno skandynawskie tłoczenie, z tego, co wiem. Posiadam również egzemplarze z krajów socjalistycznych, gdzie została wydana pod koniec lat 80. – w Polsce, Czechosłowacji, na Węgrzech, w Rosji. Oczywiście, jeśli chodzi o Związek Radziecki, ta płyta chyba była mało legalna, ale jednak ją wydali. Poza tym posiadam kilka wydań argentyńskich, kilka wenezuelskich, z Peru, Meksyku, Brazylii i Afryki Południowej. Również z Izraela i Turcji – bardzo trudno dostępna i bardzo droga, mam co najmniej jedną. Plus cały zestaw płyt wydawanych na przestrzeni lat. Jeśli chodzi o wznowienia w latach 90. czy 00. to mam praktycznie wszystkie. Ale to już były ogólnowsiatowe albo europejskie i amerykańskie.

W Pana kolekcji są tylko winyle, czy także kompaktki albo kasety?

Kompaktów mam z około dziesięciu różnych wydań, były takie okolicznościowe. Najlepiej wydany w latach 00. jest ten z 2003 r. na 30-lecie albumu – zarówno winyl, jak i kompakt – najlepiej brzmiący, najlepiej zrobiony. Ten na 50-lecie jest najgorzej zrobiony. Rzeczy idealnej się nie poprawia. Każde kolejne wydanie jest gorsze, brzmi dużo gorzej niż te z lat 70., to jest przepaść w dźwięku. Odsłuchuję wszystkie, które mam w kolekcji, ale do niektórych nie wracam. Teraz najczęściej słucham tego egzemplarza japońskiego.

Bardzo ciekawią mnie początki Pana pasji.

Najpierw słuchałem muzyki z winyli mojego ojca – Czerwone Gitary, Niebiesko-Czarni, Czerwono-Czarni. Natomiast swoje zacząłem zbierać w połowie lat 70. Wtedy płyty zachodnie były horrendalnie drogie jak na nasze zarobki. Kosztowały od połowy miesięcznej pensji w górę, czasem nawet całą pensję. Pierwszą płytę kupiłem w 1975 r., to był *Abbey Road* Beatlesów, angielskie wydanie, dałem za nią wtedy 500 zł, czyli połowę średniej pensji w Polsce. Drugą płytę kupiłem dopiero rok później – Rolling Stones za 600 zł. Pod koniec lat 70. udało mi się wyjechać do Francji, do pracy. Potem jeszcze raz w latach 80. Kiedy tam zarabiałem pieniądze, najczęściej przywoziłem winyle i ta kolekcja rosła. I tak do dzisiaj.



Fot.: Witold Andree

***Abbey Road* zostało zdarte do końca?**

Zawsze starałem się mieć dobry sprzęt z dobrą igłą, dobrą wkładką, aby te płyty się nie niszczyły. Do tej pory mam ten *Abbey Road* i nadal świetnie gra. Płyty tłoczone w latach 60. i 70. szczególnie, to są płyty nie do zdarcia. Najlepszym przykładem są pierwsze wydania Beatlesów z początku lat 60., one grają znakomicie, nawet gdy wizualnie już nie wyglądają. Jeśli porównamy dźwięk płyty wydanej w latach 70., 80., i tej samej wydanej teraz, to ta stara zawsze brzmi lepiej. Ale ten dźwięk musi być w jakiś sposób przeniesiony, przez odpowiedni sprzęt: gramofon z dobrą wkładką, odpowiednio dobrany wzmacniacz i kolumny. To nie musi być sprzęt hi-endowy. Niektórzy się ze mną pewnie nie zgodzą... Kupuję wzmacniacze

lampowe, kable za 500, albo i 1000 zł za metr – ja uważam, że to są bajki. Można słuchać muzyki w znakomitej jakości za kilka tysięcy złotych. Najdroższe, co mam, jeśli chodzi o mój sprzęt, to wkładka – kupiłem ją za 1600 zł, ale to słyszeć. Poza to składniki niekoniecznie muszą być drogie, ale dobrze dobrane.

***A The Dark Side of the Moon?* Kiedy zdobył Pan swój pierwszy egzemplarz?**

Pierwszy egzemplarz nie był mój. To był rok 1974. Mój starszy kuzyn był na wakacjach z rodzicami w Jugosławii i przywiózł wtedy „Ciemną Stronę Księżyca”, bo tam wydawano płyty... Zachodnie. W Jugosławii! To była pierwsza płyta, którą nagrałem na magnetofonie. Nie pamiętam, kiedy zdobyłem już własny egzemplarz, nie później niż w 1978 r. Być może, jak byłem we Francji i pracowałem na budowie, miałem wtedy 17 lat. Za to pierwszy egzemplarz kolekcjonerski dostałem na początku lat 80. od moich rodziców, na gwiazdkę. To było wydanie z 1977 r. na białym winylu, oficjalne niemieckie. Nie mam już tego egzemplarza, ale oczywiście mam tę płytę w swojej kolekcji.

W tym momencie nie mogę nie zapytać: dlaczego akurat ta płyta?

Uważam, że to jest najlepsza płyta wydana w historii muzyki.

I od początku szukał Pan zawsze tej konkretnej?

Dopiero z czasem, kiedy rozwinął się sklep – tak miałem jeden lub dwa egzemplarze. Zaczęło się od tego, że jeden mój kolega kolekcjonuje winyle Beatlesów *Sgt. Pepper's* – ma ich prawie 300, ja mu nawet jakieś egzemplarze znajdowałem. Jakies 15 lat temu, jak on tak szukał tych płyt, to stwierdziłem, że jak ty kolekcjonujesz „Sierżanty”, to ja zacznę zbierać „Ciemne Strony Księżyca”. To mnie natchnęło. Fajnie jest mieć ileś tam wydań. Mam chyba z dziesięć różnych *Wish You Were Here*, to moja druga ulubiona płyta, ale o tę płytę już nie zabiegam. Czasem coś wpadnie z inną okładką lub grafiką – tam też są różne niuanse. „Ciemnych Stron Księżyca” szukam.

Teraz kolekcjonuję przede wszystkim płyty z autografami i staram się sam je zdobywać. Mam *Selling England by the Pound* Genesis, ich najbardziej znaną płytę, z autografem Stev'a Hacketta. Mam Neila Younga, Atomic Rooster, Nazareth czy Uriah Heep. Mam Pink Floyd *Meddle* – własnoręcznie zdobyte autografy: Roger Waters i Nick Mason. Richard Wright nie żyje, a David Gilmour podobno nie podpisuje. Tutaj sam Nick Mason na płycie *Animals* – to jest wydanie z lat 70., oficjalne niemieckie, w tej chwili kosztuje 600 zł, bo jest na różowym winylu. Autograf Nicka Masona zdobyłem, jak grał na Torwarze w 2019 r. Roger Waters podpisał mi przy okazji opery *Ča Ira* w 2006 r., przy której się specjalnie zatrudniłem. Pracowałem ciężko fizycznie przez siedem dni, ale miałem go obok siebie na próbach, kiedy budowałem trybuny.

Sklep, który już od dawna jest na mapie Poznania.

Handlowałem płytami od 1977 r., na giełdach studenckich. Pierwszą płytę, którą sprzedawałem, było Pink Floyd *Animals* – miałem wtedy dwie. Oczywiście, za te pieniądze, na tej samej giełdzie, kupiłem kolejną płytę. Przez lata 80. cały czas handlowałem, nawet miałem firmę, zarejestrowaną w 1988 r., która nagrywała i sprzedawała. Ale ta, z różnych powodów, nawet politycznych, została zlikwidowana przez milicję. W 1995 r. założyłem firmę Oskar jako hurtownię płyt kompaktowych. Funkcjonowała przez 3 lata, po czym wydaliśmy pierwszą płytę Colina Bassa, basisty grupy Camel – od tego czasu zaczęło się wydawnictwo. W 1999 r. założyłem sklep detaliczny na ulicy Wodnej, wtedy ten sklep miał swój pub, ale były duże koszty. Później przeniósłem się na Wielką 9, wejście od Szewskiej – to był gdzieś 2003 r., a trzy lata temu sklep się powiększył.

Sklep przetrwał winylowe „załamanie”.

Tak, dokładnie. Przez jakiś czas dopłacałem do interesu. Ten sklep to było hobby, bardzo długo. Przez lata prowadziłem wydawnictwo płytowe, wydałem 150 albumów na kompaktach, 50 na winylach, zajmowałem się muzyką z pogranicza rocka progresywnego. To były zespoły brytyjskie,

francuskie, kanadyjskie, polskie, także holenderskie. Z tego żyłem, dlatego sklep mógł funkcjonować jako hobby, nawet jak do niego dopłacałem, to było miejsce: „koledzy przyszli, słuchamy muzyki”. Jakbym miał z niego żyć w latach 2005 do 2012, to nie byłbym w stanie go utrzymać. A w tej chwili koniunktura na winyle bardzo mocno się poprawiła i odpowiednio dochody ten sklep przynosi.

Czy ma Pan w takim razie wskazówki, jak się nie „naciąć” kupując winyle?

Stan można ocenić dopiero po umyciu płyty, a 99% z nich jest niemytych, zakurzonych. Przede wszystkim, płyt się nie ogląda w świetle słonecznym. Nie jesteśmy wtedy w stanie ocenić jej stanu, rys, uszkodzeń – chyba że są głębokie – ale te, które mogą powodować jakieś zniekształcenia, tych nie zobaczymy. Musimy oglądać je w świetle sztucznym. Trzeba kupować od sprawdzonych dostawców.

Zza lady obserwuje Pan rynek winyli, a ten ciągle rośnie, pojawiają się reedycje, nowe wydania, edycje kolekcjonerskie.

Rośnie. To mamy nawet w statystykach: w Stanach sprzedaż winyli przekracza wszelkie rekordy. Ich powrót zaczął się gdzieś po 2006/7 r., a tak naprawdę wielki po 2010 r. Od 2015 r. przybywa coraz więcej ludzi młodych. Średnia wieku pomiędzy rokiem 2005–2015 kupujących w moim sklepie spadła z 50 lat na 25 – średnia! W tej chwili mój główny klient to młódzież, nawet z podstawówki, gdzie nie ma tradycji od rodziców. Rodzice przychodzą i mówią „mój syn/córka oszalała_a na temat winyli, ja nigdy nie miałem”, ale tutaj kupuje. Jest to fajnie. Nie wiem, w jakim stopniu jest to moda, a w jakim chęć pokazania się.

Myśli Pan, że to zainteresowanie płytami winylowymi będzie rosło?

Na razie rośnie, ale jak będzie dalej... Co chwile przychodzą ludzie, którzy mówią, że kupili nowy gramofon albo po wielu latach wrócili do winyli, również młodzi ludzie, i mówią: „to jest pierwsza płyta, którą kupuję”. Przyszłość w takich ludziach.



fot. archiwum Browar Grodzisk

Grodziskie – duma Wielkopolski

**„Szampan północy”, który jest jedynym
polskim stylem piwnym**

Tekst: Dominika Majewska

Wyobraź sobie piwo, które przez wieki było witywką Wielkopolski – lekkie, złociste, z puszystą pianą i aromatem dymu, podawane w kieliszkach przypominających te do szampana. Dziś możesz je zamówić w poznańskim multitapie albo trafić na półce sklepu z kramami, ale jego historia sięga znacznie dalej niż moda na piwo rzemieślnicze. Grodziskie, zwane też „szampanem północy”, to jedyny polski styl piwa, który przez setki lat zdążył stać się dumą regionu, marką eksportową, a później... niemal całkowicie zniknąć.

Grodziskie było czasem lokalnej tożsamości, napojem mieszczan i arystokratów, trunkiem eksportowanym na statkach do Stanów i Wietnamu. A potem, po cichu, bez większego rozgłosu, zostało uśmiercone decyzjami gospodarki lat 90. Dziś powróciło, mocniejsze niż kiedykolwiek, zdobywając medale na światowych konkursach i na nowo budząc dumę w Wielkopolsce. I właśnie dlatego grodziskie to nie jest „jeszcze jedno lekkie piwko” w karcie. To opowieść o wzlotach i upadkach, o piwowarze-legendzie z pasją, o małych browarach, które uwierzyły w styl skazany na zapomnienie, i o tym, że nawet w globalnym świecie czasem wygrywa coś tak lokalnego.

Kiedyś o Grodzisku mówiło się, że to małe miasteczko z wielkim sercem i jeszcze większą piwną reputacją. Nie bez powodu. Piwo grodziskie to jedyny polski styl piwa, unormowany w statucie cechu piwowarów w Grodzisku w roku 1601. Styl zakorzeniony w historii, a jednocześnie niezwykle nowoczesny jak na swoje czasy. Nic dziwnego, że szybko przekroczył granice regionu i zdobył świat. W szczytowym okresie rozwoju, w latach 20 XX wieku, Zjednoczone Browary Grodziskie eksportowały piwo i sól do kilkudziesięciu krajów od Wietnamu



po USA, a roczna produkcja piwa w mieście zamieszkiwanym przez kilka tysięcy osób wynosiła ok. 10 milionów litrów. Wyobraźcie sobie ten kontrast: małe miasteczko, kilka tysięcy mieszkańców, a w piwnych kronikach zapisywane obok największych światowych ośrodków. Skrzynie z grodziskim trafiały na statki, a na ich bokach widniały nazwy egzotycznych portów. I to nie jest żadna legenda, tylko twarde dowody na to, jak daleko sięgały wpływy wielkopolskiego piwa. Ale każda dobra historia ma też swoje ciemne rozdziały.

Po dekadach sukcesów nadeszła cisza. Zmiany gospodarcze, przejęcia przez korporacje, problemy z utrzymaniem produkcji – wszystko to sprawiło, że w 1994 roku zamknięto ostatni browar w Grodzisku Wielkopolskim. Jednak pamięć o stylu została zachowana przez piwowarów domowych, którzy zabezpieczyli



także oryginalne drożdże używane do jego produkcji. To właśnie domowi piwowarzy stali się strażnikami tradycji. Schowali do lodówek buteleczki z drożdżami, zapisywali przepisy, a przede wszystkim warzyli w swoich kuchniach i garażach. Dzięki nim styl nie zniknął z mapy świata, nawet jeśli przez lata można go było spróbować tylko u pasjonatów.

I w końcu nastąpił powrót. Rok 2015, Grodzisk znów ma browar. To było coś więcej niż wznowienie produkcji – to była symboliczna reanimacja polskiego piwowarstwa. Nagle okazało się, że nie tylko można odtworzyć dawny smak, ale też wciągnąć do zabawy cały świat. Browar Grodzisk zaczął dzielić się recepturą, słodem i drożdżami. Organizował konkursy, zapraszał piwowarów i amatorów. Styl grodziski stał się tematem rozmów na piwnych forach w Stanach, Niemczech czy Japonii. Od tamtej pory grodziskie żyje drugim życiem. Pije się je w pubach w Poznaniu, w Grodzisku, ale też w berlińskich multitapach i amerykańskich piwnych barach.

Jeśli ktoś nigdy nie pił grodziskiego, często spodziewa się zwykłego jasnego piwa. Tymczasem już pierwszy łyk pokazuje, że to coś zupełnie innego. Wyobraź sobie lekkość porównywalną do wody mineralnej, ale z mocnym, charakterystycznym

akcentem dymu i solidną goryczką, która zostaje w ustach na dłużej. Do tego wyraźne bąbelki.

„Grodziskie to lekkie piwo górnej fermentacji, wysoko wysyczone dwutlenkiem węgla dzięki powtórnej fermentacji w butelce. Wyróżnia się delikatną dymną nutą wynikającą z użycia słoju pszenicznego suszonego w dymie dębowym. Zawiera zwykle ok. 3% alkoholu i zaledwie 7,7% ekstraktu, jednak dzięki akcentom dymnym i relatywnie wysokiej goryczce nie wydaje się wodniste. Od co najmniej XIX wieku serwowane w charakterystycznym wysokim kielichu przypominającym szkło do szampana.” – mówi Marcin Ostajewski, główny piwowar Browaru Grodzisk.

No właśnie – to szkło. Wysoki kieliszek, który bardziej kojarzy się z sylwestrowym toastem niż z kuflem piwa, to element obowiązkowy. Dzięki niemu dymny aromat pięknie unosi się nad pianą, a samo picie nabiera eleganckiego charakteru. To piwo, które można pić długo, nie męcząc się ani smakiem, ani procentami. Idealne na letnie spotkania w ogródku, ale też świetne jako akompaniament jedzenia.

Powrót grodziskiego do browarów i pubów nie był tylko sentymentalnym gestem. Styl ten szybko udowodnił, że potrafi odnaleźć się w XXI wieku – i to nie byle jak. Dziś zdobywa nagrody na najważniejszych piwnych konkursach na świecie, a samo pojawienie się kategorii „piwo grodziskie” na takich zawodach było małą rewolucją. Jeszcze kilka lat temu nikt nie traktował go jako pełnoprawnej pozycji w rankingach, a teraz browary z Wielkopolski zgłaszają swoje interpretacje z dumą. „Browar Grodzisk promuje styl organizując prawdopodobnie największy na świecie konkurs dla piwowarów domowych i komercyjnych skupiony wyłącznie na jednym stylu piwnym. Dodatkowo zabiega z sukcesami o pojawienie się kategorii piwa grodziskiego na największych konkursach komercyjnych na świecie” – dodaje Ostajewski. To właśnie dzięki takim działaniom grodziskie zaczęło błyszczeć na salonach.

Sukcesy nie kończą się na Browarze Grodzisk. Coraz częściej sięgają po nie mniejsze browary – jednym z najbardziej spektakularnych przykładów jest Browar Nieczajna spod Obornik. Kto by pomyślał, że w dawnej jednostce wojskowej – 29 Dywizjonie Rakietowym Obrony Powietrznej – powstanie browar, który



fot. Agnieszka „Frustra” Młynarczyk

w krótkim czasie stanie się ambasadorem polskiego stylu na świecie? Pierwsze grodziskie w Browarze Nieczajna powstało w marcu 2021 roku, a ogromną rolę odegrał tu Janek Szała z Browaru Szałpiw – legenda stylu. „Janek był przez lata namawiany na uwarzenie komercyjnie piwa Grodziskiego ze względu na to, że ma sporą wiedzę i renomę jeśli chodzi o temat Grodzisza i w końcu to zrobił, właśnie w Nieczajnej, dbając o każdy szczegół: profil wody dopasowany do tej z Grodziska, tradycyjne zacieranie i sól z Bruntala” – opowiada Łukasz „Suseł” Szymański z Nieczajnej. Od początku stawiano tu na współpracę – z Browarem Szałpiw, blogerami Smaki Piwa i Areckim bez bloga, a także ekipą Samych Kraftów. Tak powstało „Piwo w stylu Grodziskim”, które szybko zdobyło uznanie. Wersja klasyczna, klarowna i z piękną pianą, doczekała się także wariantu z dziką czarną porzeczką. Sukces przyszedł szybko – w 2023 roku brąz na European Beer Star, a dwa lata później złoto. Dla piwowarów Nieczajnej najważniejsza pozostaje jednak pasja. „Wyróżnikiem owego klasycznego Grodziskiego jest przede wszystkim wysoka jakość i pasja, jaką wspólnie w gronie twórców wnosimy niezmiennie do tegoż projektu” – dodaje „Suseł”. Dziś Nieczajna nie tylko warzy grodziskie, ale też pokazuje, że styl ten może być inspiracją. Interpretacje z dodatkiem owoców, mocniej chmielone czy nawet bezalkoholowe – wszystkie one budują nowy rozdział tej tradycji. Bo grodziskie nie jest eksponatem w muzeum.

Każdy region w Polsce ma swoje kulinarne symbole. Kraków ma obwarzanki, Podhale oscypka, a Wielkopolska? Oczywiście pyry z gzikiem – ale obok nich coraz mocniej wraca na piedestał właśnie piwo grodziskie. I nie jest to bynajmniej tylko alkoholowy folklor, ale prawdziwa część lokalnej dumy i tożsamości. Patrząc na drogę, jaką przeszło grodziskie, trudno nie mieć wrażenia, że to historia jak z dobrego filmu. Mamy tu wszystko: złoty wiek i globalne sukcesy, dramatyczny upadek, niemal zapomnienie, a potem triumfalny powrót – i to na światowe salony. A w tle nie korporacje i wielkie pieniądze, tylko pasjonaci, którzy uwierzyli, że ten styl ma przyszłość. Wielkopolska przypomniała światu, że ma swój własny, unikatowy styl piwa – i to styl, który potrafi konkurować z najlepszymi. Browar Grodzisk wskrzeszony w oryginalnej lokalizacji, Browar Nieczajna ze swoimi medalami, dziesiątki domowych piwowarów, którzy próbują swoich sił w konkursach – to wszystko dowodzi, że ten styl żyje. I chyba właśnie o to chodzi, że grodziskie nie jest tylko piwem. To symbol uporów, lokalnej dumy i pasji. To opowieść o tym, że nawet małe miasteczko może odcisnąć ślad na światowej scenie, jeśli ma coś wyjątkowego do zaoferowania.



fot. Archiwum Browar Nieczajna

Materiał ma charakter informacyjny i nie stanowi reklamy ani promocji napojów alkoholowych.

to, co gramy jest timeless



REWIRY AW 25/26

nowy sezon

Pejzaż / Szklany Pogodyn
naked relaxing / DTEKK /
the selektas / The Very Polish
Cut Outs / Daniel Drumz

Bass2Face / Duszne Granie
Disco MFS / Kama / Kuba
Guzik / Nimm2 / Sosia /
Wookie & more

al. Niepodległości 8a



POCZTA

CO\WORK

Spotkajmy się na POCZTA CO-WORK

Poznaj otwartą przestrzeń do pracy dla freelancerów, zespołów i kreatywnych osób. Elastyczne biurka i inspirujące otoczenie sprzyjają rozwojowi i budowaniu relacji.

POCZTA WORKSPACE

ul. 23 Lutego 26
61-013 Poznań

+48 519 161 491
cowork@pocztaworkspace.pl

pocztaworkspace.pl

Mieć jakość i być jakością!

**Wywiad z Natalią Penar, modową
stylistką i twórczynią internetową**

Rozmawiała: Karolina Sierszulska

Zdjęcia: Jacques Gassmann



O modzie oraz poszukiwaniu w niej własnego głosu. Również o odpowiedzialności, wolności i... zabawie. O tym, i nie tylko o tym, rozmawiałyśmy z Natalią Penar, stylistką, art directorką, projektantką marki The Room Berlin, twórczynią internetową. Natalia pochodzi ze Stargardu, ale przez długi czas mieszkała w Poznaniu, w którym na dobre związała się z modą. Aktualnie pomieszkuje w Berlinie, współprowadząc galerię sztuki ze swoim partnerem artystą Jacques'em Gassmannem. Docelowo mieszka w niekonwencjonalnym miejscu – byłym konwencie sióstr zakonnych z lat 70. w Bawarii. I stamtąd najczęściej nadaje na swoim YouTube'owym kanale The Edit. A gdzie się spotkałyśmy? W Portugalii, znaczy w przywołującej wspomnienia o tym kraju kawiarni de nata z pysznymi pastelami na poznańskich Języcach, zapraszamy, dosiądźcie się!

Dlaczego wybrałaś w swoim życiu stylizację? Czy to było marzenie czy pomysł narodził się bardziej spontanicznie? Jak wyglądała Twoja droga?

Moda była zawsze obok muzyki, która była na pierwszym planie. Od dziecka byłam z nią związana, to było moje największe marzenie – śpiewać. Zawsze towarzyszyła temu moda, kreacje, strój. Byłam nawet w kilku programach muzycznych, np. w Idolu, ale to stare dzieje. Jednak w pewnym momencie obraziłam się na muzykę i już do niej nie wróciłam. Pierwszą działalność gospodarczą założyłam w wieku 20 lat i był to second-hand, więc moda krążyła wokół mnie od dawna. Po kilku życiowych znakach zapytania, pracy w korpo, zrozumiałam, że już nigdy w życiu nie będę robić tego, czego nie czuję i czego nie kocham. Oddałam się modzie, weszłam w nią bardzo mocno. Wtedy nie było szkół, więc ukończyłam kursy, uczyłam się, systematyzowałam wiedzę i zaczęłam pracę w zawodzie. Wtedy to się jeszcze nazywało personal shopper, powolutku budowałam to wszystko, założyłam stronę, metodą prób i błędów tak się to toczyło.

Czym dla Ciebie jest moda?

Moda to dla mnie język, forma wyrazu i artyzmu. Ale przede wszystkim, jeśli mowa o nas, jest to przedłużenie osobowości. I uważam, że to jest bardzo dalekie od banału. Modę traktuję, jako coś, co ubiera moje emocje, mój nastrój, co oprawia moją osobowość, co dodaje jej pikanterii albo odwrotnie, kiedy chcę się za nią schować. Jest to dla mnie instrument, narzędzie. Instrument do zabawy formą, autoironią. Nie traktuję mody śmiertelnie poważnie, uwielbiam ją. Jeśli nie będziemy jej traktować, jako tylko użytkowej, funkcjonalnej, to może nam bardzo dobrze posłużyć. Moda daje mi po prostu wolność.

Wiele osób pyta o to, jak zbudować własny styl. Co byś odpowiedziała takiej poszukującej osobie? Czym jest własny styl?

To jest ciągły proces. Styl w naszej kulturze jest postrzegany, jako coś trwałego, a dla mnie styl jest zmienny, on ewoluuje wraz z nami, bo i my się cały czas zmieniamy. Oczywiście posiadamy jakiś core, ale on jest płynny. Powróć do tego, o czym



już wspomniałam, mianowicie styl dla mnie jest przedłużeniem osobowości, wynika z nas, z głębi, z zainteresowań, z tego czym się otaczamy, co czytamy – to wszystko jest stylem.

Jak to jest z tymi trendami, można czy nie można?

Pewnie, że można! Ale, jeśli nie chcemy wpaść w pułapkę pogoni za trendami, które są za szybkie, żeby je zatrzymać, które wywołują stan zagubienia, musimy umiejętnie z nich korzystać. Ja kocham obserwować trendy pod względem psychologii ubioru, ale jeśli chodzi o indywidualny styl i szafę, to najlepiej podpatrywać je na zasadzie: co do mnie pasuje. Personalizować

te trendy, ale umiarkowanie. Nie dajmy się zwariować, bawmy się trendami, ale spersonalizujmy je i spróbujmy wyczuć, co z nami rezonuje.

Jako stylistka z pewnością przyglądasz się temu, co ludzie noszą na ulicach? Co myślisz o aktualnej modzie ulicznej, jaką oceniasz?

Najczęściej obserwuję ulice w Berlinie, które są tak eklektyczne, tak inspirujące, tak pojechane, choć niekiedy też bardzo kloszardowe. Inspiruje mnie nowe pokolenie, które czerpie z mody vintage, z second-handów, świetnie to wszystko ze sobą miesza, na zasadzie *wrong theory*, czyli niedopasowane, a jednak dopasowane. Bardzo mi się to podoba, takie małe errory, znaki zapytania, coś, co nie jest dosłowne. Mi się ta niedosłowność ogromnie podoba! Jeśli chodzi o Polskę, to wciąż obserwuję, że nadal jesteśmy zbyt zachowawczy, banalni, choć to się zmienia. W większych miastach widać, że ludzie mają większe flow, większą odwagę. Oczywiście, wszędzie, czy w Polsce, czy w Kopenhadze, obecny jest tzw. *copy-paste*. Cały Instagram stał się kopiuj-wklej, mało jest tam indywidualizmu, choć oczywiście zdarzają się perełki. Tam wszyscy się nawzajem kopiują, jest jakiś jeden wyróżniający się kanon, na przykład dominującego minimalizmu i większość za nim podąża. Myślę, że duża nadzieja w młodym pokoleniu, które jest trochę bardziej pod prąd. Kiedyś to ulice dyktowały, jakie będą trendy, teraz przeniosło się to do Internetu. Aktualnie więcej kontaktu mam z Niemcami, z Berlinem i tam nie musisz mieć etykiet, logotypów, żeby wyglądać fajnie, oryginalnie. Tam nikt nikomu nie chce niczego udowadniać, nawet jeśli kogoś stać na projektantów, to pokazuje to w wysmakowany i dyskretny sposób. W Polsce natomiast to logo musi być widoczne. Jest tak dlatego, że moda pełni różne funkcje społeczne i jedną z nich jest aspekt aspiracyjny, wizerunkowy, dlatego te logotypy wciąż tutaj rządzą.

Jak oceniasz to, co dzieje się dzisiaj w świecie mody?

Uważam, że moda jest za szybka, byle jaka, brakuje w niej oryginalności, stała się bardzo bezmyślna i to bardzo mnie boli. Szybko, dużo, kupić, zapomnieć, wyrzucić na takiej zasadzie

funkcjonuje główny nurt, który dostrzegam. Bardzo się cieszę, że odżyła moda z drugiego obiegu, którą ja zaczęłam się zajmować 20 lat temu, ale wtedy to był obciach. Mając dwa second-hand, starałam się zrobić z nich takie małe butikiki, żeby klienci mogli się w nich dobrze i swobodnie poczuć. Teraz Vinted przeżywa renesans, jest Vestiaire Collective, małe instagramowe twory z rzeczami z drugiej ręki, w końcu zaczęliśmy to doceniać i to jest boskie! Ale uważam, że moda zrobiła się zbyt masowa i myślę tutaj również o markach sektora premium, a nawet high fashion. Jest za szybko, również dla projektantów, skąd oni mają czerpać inspiracje? Dlatego moda się powtarza, zatacza, co jakiś czas koła, bo ciężko jest wymyślić coś nowego w takim tempie. Moda jest w ogromnym kryzysie, mijemy tego świadomość. Tak naprawdę wciąż brakuje nam mądrej edukacji, dużo osób nie wie, po jakie materiały sięgać, „made in poland” też nie oznacza, że to jest dobrej jakości i jest dobrze uszyte.

Jak możemy stać się jeszcze bardziej modowo odpowiedzialni? Często wiele ludzi pyta mnie, gdzie oddać sterty ciuchów, zalegające w kątach mieszkań. W Poznaniu jest kilka miejsc, jak chociażby Coś na rzeczy, w którym można wynająć swój wieszak i sprzedać swoje rzeczy lub oddać je do second handu Vive Profit, gdzie otrzymamy 1 zł za 1 kg do wykorzystania właśnie w tym second handzie. Ale, co zrobić, żeby te wspomniane sterty nie rosły?

Mniej kupować i zredukować zakupy! My często, niestety, kupujemy emocjonalnie. To *fear of missing out* zwłaszcza podczas przecen i wyprzedaży. Ale to wynika również z niewiedzy o tym, kim jesteśmy, jaki jest nasz stylowy core, co nam służy, a co nie, a przez to często wybieramy przypadkowo bardzo szybko. Ja kocham modę, nie ukrywam, też kupuję, ale to wszystko jest bardzo przemyślane, zanim wpuszczę coś do mojej szafy, dużo myślę: czy to do mnie pasuje? Czy mnie reprezentuje? Czy ja to wynoszę? Ile razy to założę, czy to jest na okazję? Kupowanie na okazję to w ogóle jest bzdura, a my ciągle to w sobie mamy. To będzie na ślub, a to na imprezę, a później? Ubrane raz, na jedną okazję, potem to wszystko zostaje w szafie. Kluczem jest świadome kupowanie, bycie świadomym konsumenten-

tem. Wpływ influencerów też trzeba rozeznaczyć, bo to co im pasuje, nie koniecznie będzie leżeć dobrze na nas, to są zupełnie inne osoby, niż my. A wtedy popadamy w taki schematyzm, to powoduje, że czujemy się modowo i stylowo zagubieni. Mamy dużo, ale to nie jest spersonalizowane. Uwielbiam odwiedzać second-hand, ale obserwuję pewien rodzaj uzależnienia od tego. Kiedy ja nie mogę znaleźć jednej rzeczy, a ludzie wychodzą z pełnymi torbami. Ubrania są tam łatwo dostępne, nawet już nie tak tanie, ale jeśli kupimy coś za 20-30 zł, to możemy ubrać 2-3 razy, a później się wyrzuci. Więc w SH naprawdę trzeba uważać, bo łatwo popaść w konsumpcjonizm i kupić o wiele za dużo. Ale, tak jak zaczęłyśmy, że moda to zabawa, też musimy wyważyć to z odpowiedzialnym kupowaniem. Zbalansować to.

Zbalansować to, ale co zrobić, kiedy sklepy z fast i ultra fast fashion tak kuszą?

Po prostu nie wchodzić do nich, omijać łukiem. Musimy nauczyć się inwestowania w modę. Trzeba zmienić sposób myślenia, powoli, małymi krokami wprowadzać nowe, bardziej jakościowe ubrania. I nie musimy przepłacać! Wspomniałam wcześniej o platformach z modą z drugiego obiegu, ja teraz już w większości kupuję z drugiej ręki. Zachęcam! I chciałabym tutaj również rozliczyć trochę influencerów, którzy promują niezdrowe nawyki konsumenckie, robią to kompletnie nieodpowiedzialnie, a młode pokolenie to obserwuje. To nie jest fajne!

Na koniec: dokończ zdanie: idealny świat mody to...

Taki, w którym mamy większą czułość do samych siebie, większe zrozumienie nas samych, przez co sprawiłby, że nasze wybory byłyby bardziej zrównoważone. To taki świat, w którym wybieramy rzeczy skrojone bardziej dla nas i ograniczamy ten okropny przemysł fast fashion. Świat bardziej slow, z większym luzem, w którym nie ma ciśnienia na to, żeby mieć, mieć, mieć bylejak. Mieć jakość i być jakością, tak byłoby najpiękniej!

IG: @nataliapienarstylist

YT: NataliaPenarStylist

Cały wywiad na www.freshmag.pl

Teatr Ludowy wraca do Poznania

**O sztuce, która interpretuje lokalne
dziedzictwo**

Tekst: Joanna Gruszczyńska

Zdjęcia: Beata Wenclawek – BW Pictures





Główna to dzielnica mało znana, a jeszcze mniej znana jest historia teatru ludowego, który działał w niej na początku XX wieku. 26 września 2025 roku odbyła się premiera spektaklu *Domek wałmistrza. Remix*, który znów wskrzesił ideę teatru tworzonego oddolnie i ochotniczo, zwracając uwagę na niepokojące zjawiska zachodzące na Główniej.

Dawno temu na Główniej

Na początku XX w. na ul. Główniej 38 mieściła się salka teatralna, w której robotnicy i robotnice organizowali przedstawienia dla swoich sąsiadów i rodzin. Według opinii Narodowego Instytutu Dziedzictwa, budynek z czerwonej cegły, w której się mieściła, „powstał prawdopodobnie w związku z planami utworzenia na Główniej nowej parafii ewangelickiej”, do czego ostatecznie jednak nie doszło. Powstał tam teatr, będący centrum życia społeczno-kulturalnego na Główniej.

Teatr służył rozrywce, był miejscem spotkań stowarzyszeń i organizacji (m.in. Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, Młodych Polek, Koła Śpiewaczego), przestrzenią wspólną, żywą i przede wszystkim własną. Był tworzony przez i dla wspólnoty lokalnej – to ona uczestniczyła w przygotowaniu i prezentacji spektakli oraz decydowała o ich treści, formie i celu. W gazecie *Ilustracja Poznańska i Nowiny Sportowe* z 1931 roku znajduje się fotografia zespołu teatralnego związanego z Katolickim Towarzystwem Robotników Polskich Poznań-Główna, które wystawiło spektakle „Tajemnice małżeńskie” i „Komornik poeta”, aby zasilić fundusz dla dzieci przystępujących do I komunii św. Budynku, w którym mieściła się sala teatralna, już nie ma.



Lata zaniedbań prywatnego właściciela (dewelopera), na którym spoczywa obowiązek zabezpieczenia i utrzymania zabytku w jak najlepszym stanie, doprowadziły do decyzji o rozbiórze sali teatralnej w 2022 roku. Z mapy dzielnicy Główna zniknęło miejsce będące – jak opiniuje NID – „świadkiem historii protestantyzmu i życia społeczno-kulturalnego Polaków w okresie dwudziestolecia międzywojennego”, posiadające „wartości zabytkowe, przede wszystkim historyczne, związane z pełnionymi funkcjami i znaczeniem dla lokalnej społeczności”.

Rekonstrukcja teatru ludowego

Dziś na Główniej działa Stowarzyszenie Młodych Animatorów Kultury, które prowadzi w dzielnicy społeczne centrum kultury Fyrtel Główna. To miejsce integruje lokalną społeczność poprzez sztukę i kulturę, ale również stawia sobie za cel odkrywanie, badanie i dokumentowanie dziedzictwa kulturowego dzielnicy. W 2024 roku Stowarzyszenie postanowiło wskrzesić ideę teatru ludowego i wystawiło spektakl „Dawno temu w Glutendorfie”

w reż. Daniela Stachuły i Ewy Kaczmarek (Laury Leish). Wido-wisko odbyło się w czerwonym autobusie, tzw. „ogórku” – we-hikule czasu, który przemierzając ulice Główniej, zabrał publiczność w podróż po historii dzielnicy. Teatralna opowieść łączyła wydobyte z archiwów wątki ze współczesnymi tematami.

– Cieszymy się, że mogliśmy (re)konstruować ideę teatru ludowego. Teatru, który tworzy autentyczne relacje. Teatru, który nie tylko opowiada o lokalnym dziedzictwie jednej z naj-fajniejszych dzielnic Poznania, ale je interpretuje – wspólnie z ludźmi, w ich języku, w ich rytmie” – opowiada Daniel Sta-chuła ze Stowarzyszenia Młodych Animatorów Kultury, pomysłodawca projektów teatralnych na Główniej.

Jak pisali Adam Bień i Jędrzej Cierniak, teatr ludowy to przede wszystkim „teatr pewnych (...) gromad ludzkich” – takich, gdzie „wszyscy się znają wzajemnie, a teatralne przedstawienia urządzają rzadko, od święta, sami dla siebie”. „Dawno temu w Glutendorfie” reinterpretuje tę ideę i stara się pokazać, że współcześnie rozumiany teatr ludowy to teatr społeczności lokalnych, które tworzą spektakle oparte na własnych doświad-

czeniu, opowiadające o ważnych dla nich tematach. Scenariusz „Dawno temu w Glutendorfie” powstał we współpracy z uczestnikami i uczestniczkami Pracowni scenariopisarskiej, a w spektaklu wystąpiły osoby, które wzięły udział w otwartym naborze, w tym mieszkańcy Głównej i innych poznańskich dzielnic.

Znikające zabytki, znikające historie

Dzielnica Główna zmienia się w dynamicznym tempie, często tracąc to, co stanowi o jej wyjątkowości, m.in. zabytki, które niosą za sobą historię i stanowią ważny element lokalnej tożsamości. Z dzielnicy zniknął nie tylko rozebrany przez dewelopera budynek teatru ludowego. W 2019 roku rozebrano młyn Cerealia (Nadolnik), wcześniej wielokrotnie niszczone przez podpalenia i pożary. Dziś w jego miejscu stoi osiedle Nadolnik Compact Apartments, oferujące „smartApartamenty” o metrażu ok. 20 m². Dawny młyn, dopóki istniał, był materialnym świadectwem przeszłości dzielnicy, która była kiedyś wsią młynarską. Do Poznania została włączona dopiero 100 lat temu (razem z Komandorią, Ratajami, Starołęką, Dębicem, Winiarami i Naramowicami).



Niepewny jest również los opuszczonego, lecz zabytkowego budynku przy ul. Głównej 74, który dziś popada w ruinę. Z karty ewidencyjnej zabytku wynika, że mógł to być domek wałmistrza, czyli urzędnika zajmującego się nadzorem nad stanem technicznym poznańskich fortów. Wątpliwości budzi jednak jego lokalizacja. W innych fortach tego typu zabudowania powstawały tuż obok umocnień, natomiast „domek wałmistrza” na Głównej stoi około 1,4 km od najbliższego fortu – Fortu IV Hake. Wiadomo jednak, że wzniesiony pod koniec XIX wieku budynek w czasie II wojny światowej służył jako biuro SS.

Budząca niepokój przyszłość „domku” oraz jego zagadkowa historia stała się impulsem do ponownego wskrzeszenia Teatru Ludowego, po to, aby zwrócić uwagę na jeden z ostatnich zachowanych zabytków na Głównej, opowiedzieć jego historię oraz dopisać jej nowy rozdział. – To żywa forma interpretacji i próba ochrony lokalnego dziedzictwa, która angażuje zarówno twórców, jak i widzów” – komentuje Daniel Stachuła.



Domek walmistrza. Remix

„Domek walmistrza. Remix”, którego premiera odbyła się 26 września 2025 roku, było drugą produkcją Teatru Ludowego na Główniej – „nie-instytucji”, czyli teatru nieposiadającego siedziby, sceny ani stałego zespołu. To twór ochotniczy, wspólnotowy i efemeryczny, który wystawia spektakle „od święta”.

Współczesna refleksja nad teatrem ludowym doprowadziła twórców „Domku walmistrza” do pracy metodą devised theater, procesu, w którym cały zespół, czyli reżyser, aktorzy i inni twórcy, wspólnie generują i rozwijają materiał teatralny od podstaw, często bez gotowego scenariusza. Efektem jest dzieło zespołowe, a nie wyłącznie realizacja wizji jednego reżysera. – Reżyseria w tym procesie nie narzuca wizji, lecz wydobywa wspólne wątki, łączy je w kolaż znaczeń, pytań i obrazów” – opowiada reżyser spektaklu Karol Bijata. Spektakl wspólnie z nim stworzyli Blanka Kęstowicz, Grażyna Aneta Ochowiak, Natalia Klupp, Volha Ardaor, Wera Kątna, Aleksandra Piastanowicz, Klaudia Laś, Vampek Król, Aleksandra Maślańczyk, Anna Ludek, Natalia Klupp, Grzegorz Walkowiak, Anna Kuśnierkiewicz, Kacper Scheffler, Alina Dziecioł, Natalia Krynicka, Natalia Borys, Maciej Gil oraz Daniel Stachuła.

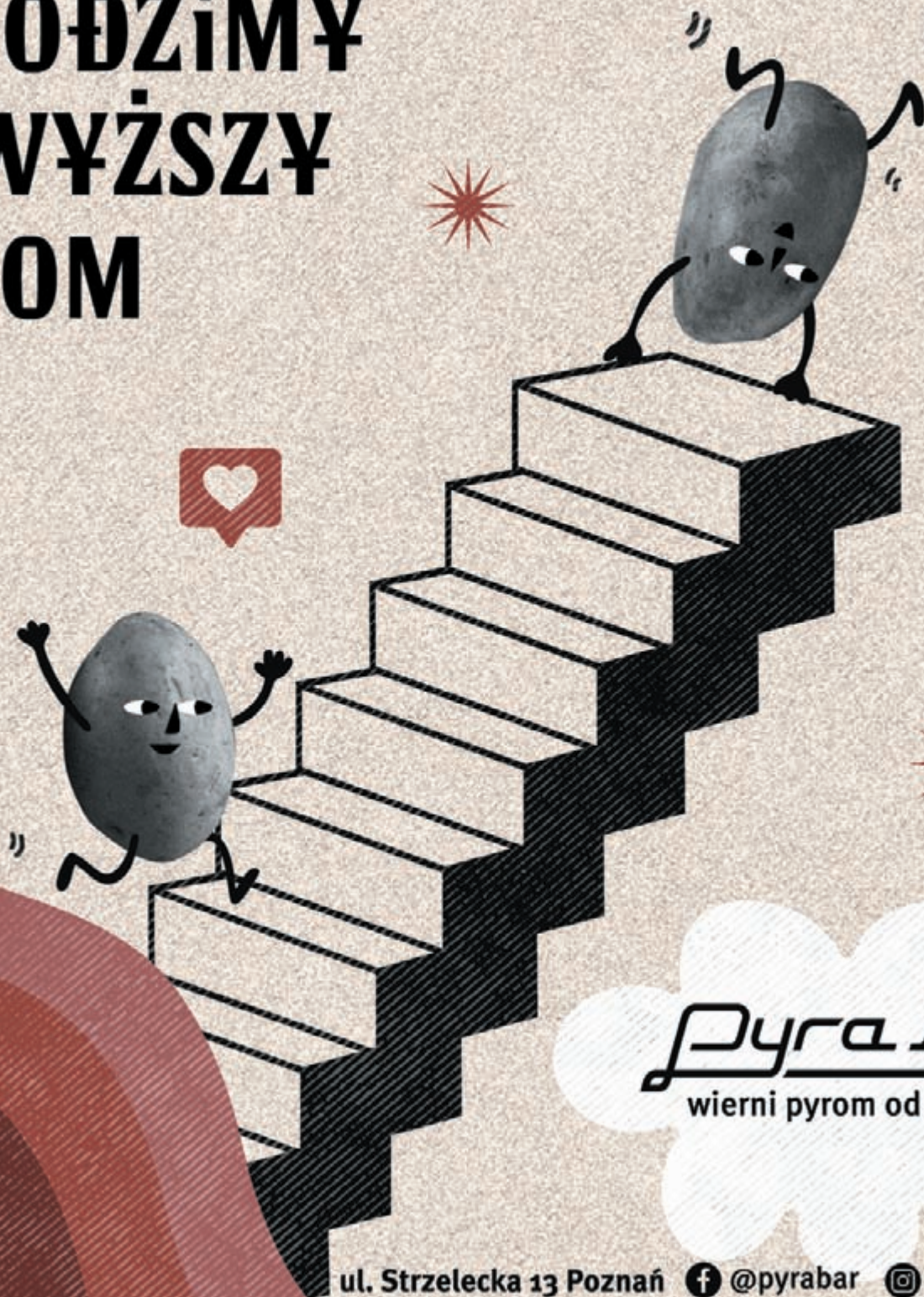
Jeśli „Glutendorf” był powrotem do przeszłości i opowieścią o tym, co łączy, to „Domek walmistrza. Remix” był wejściem w głąb tego, co dzieli. Spektakl, wychodząc od historii walmistrza i zwracając uwagę na los zabytku, stawiał pytania o współczesne linie podziałów i granic – zarówno w wymiarze lokalnym, dotyczącym dzielnicy Główna, jak i w szerszej perspektywie. Było to widowisko plenerowe, rozgrywające się na podwórku przy ul. Główniej 74, czyli tuż przy „domku walmistrza”. – Dom walmistrza był domem, który swoimi murami chronił człowieka, który chronił coś, co dzieli człowieka od człowieka” – komentuje Karol Bijata, zwracając uwagę na sprzeczność, jaka kryje się w tym miejscu.

Po co wracać do przeszłości?

Powroty do przeszłości zawsze powinny nieść za sobą pytania o swoją celowość – po co dziś odtwarzać ideę teatru ludowego czy przypominać o miejscach, osobach i wydarzeniach z życia dzielnicy Główna. Działania teatralne na Główniej nie są jedynie nostalgicznym rozpamiętywaniem, ale raczej artystyczno-społecznym działaniem lokalnej społeczności, w którym ukryta jest potrzeba ochrony lokalnego dziedzictwa i tworzenia własnych narracji – o pamięci i tożsamości czy miejscach budowanych oddolnie. Rozumiejąc teatr ludowy w ten sposób, jego historia nadal trwa.



WCHODZIMY NA WYŻSZY POZIOM

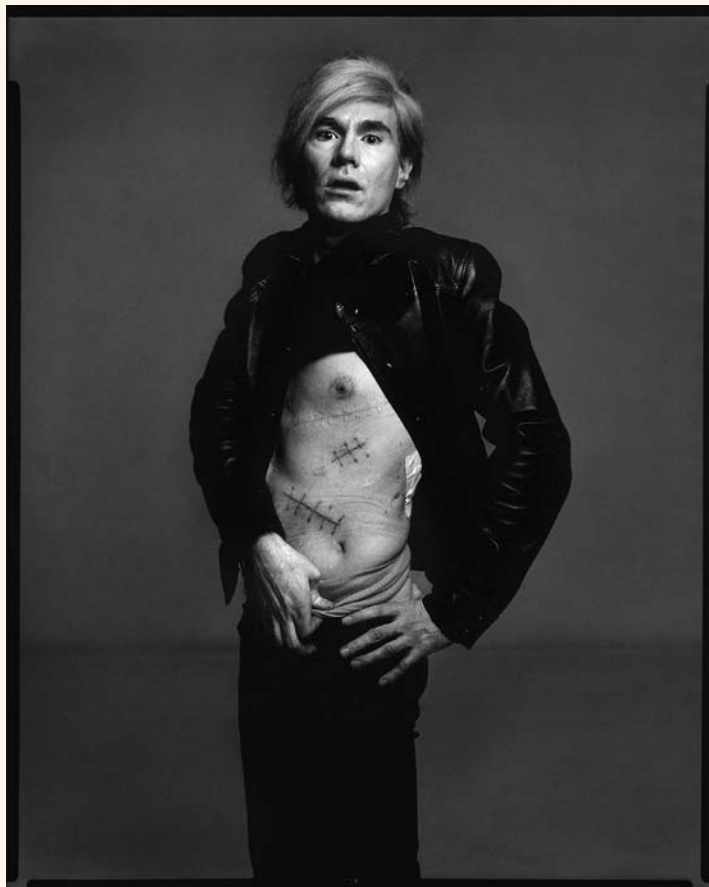


Pyra bar
wierni pyrom od 2009r.

ul. Strzelecka 13 Poznań  @pyrabar  @pyrabar_

ANDY WARHOL

A KIND OF RETROSPECTIVE



ZDJĘCIE ANDY WARHOL, NEW YORK, AUGUST 1969, PHOTOGRAPH BY PETER LINDBERGH, THE WARHOL FOUNDATION

WYSTAWA DO 28.02.2026
STARY BROWAR W POZNANIU

POP CULTURE
GALLERY
@STARY BROWAR

**STARY
BROWAR**



OCR Creations[™]
Art & Creative Agency

newonce

***dynks**

RADIO 357

T5 BILET.PL